

WYDAWNICTWO IMIENIA. M. BRZEZIŃSKIEGO.

POD GODŁEM KRZYŻA

Powieść z czasów Jadwigi i Jagiełły.

PRZEZ

Edwarda Zorjana.

WYDANIE TRZECIE.



Nr. 93.

WARSZAWA.

„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej.
Warecka 15.

1921.



93328

1.

Wieczór był pogodny, niebo skrzyło się gwiazdami; od gór powiewał chłodny wiatr, zanosząc poważny szmer starych buków i grabów pobliskiego lasu i klekot młyna, położonego nad wrzącym potokiem górskim.

Opatrzywszy stajnię, oborę i śpichlerz, przekonawszy się, że wszędzie panuje porządek, pan Wojśław Odrowąż, odziany w wysokie buty i krótki obcisły kożuszek, pokryty szarem grubym suknem, obchodził, jak co dnia przed udaniem się na spoczynek, całe obejście swego dworu.

Dwór stał pośrodku, dalej stajnie, obory, śpichlerz i inne zabudowania gospodarskie; niewielki sad owocowy rozciągał się po drugiej stronie; dokoła szedł parkan, a raczej częstokół z grubych bierwion, wzmocniony z zewnątrz podporami z ogromnych kamieni, w które obfitowały skaliste wybrzeża rzek i potoków górskich; poza częstokołem biegła fosa dość głęboka, ze stromymi ściętymi ścianami. Naprost drzwi dworku była wśród częstokołu umieszczona brama, zawieszona na ciężkich zawiasach w odrzwiach, wyciosanych z potężnych pni, nakryta ostrym dachem, którego grzbiet jeżył się żelaznymi kolcami. Od wewnątrz brama była zaparta drągiem żelaznym i zamknięta na kłódkę potężnych rozmiarów, od której klucz co wieczór oddawał wiernik panu Wojśławowi. Gdy gość spóźniony podjechał pod bramę i młotkiem, umyślnie na ten cel wiszącym nazewnątrz, uderzył, wpiersz mu się dobrze przypatrywano przez małe, zakratowane okienko i o cel przybycia wypytywano, zanim otwarto podwoje.

Skończywszy swój zwykły obchód, pan Wojśław zmierzał do domu.

Był to budynek niewysoki, ale obszerny, silnie z modrzewiowego suchego drzewa zbudowany, o niskich oknach bez szkieł, które zastąpiono czysto wymyтым pęcherzem. Na noc okna zamykano okiennicami.

k-81178/99649

Z sieni, dzielącej dom na dwie połowy, wszedł pan Wojsław do obszernej izby, oświetlonej łuczyczem i ogniem wesoło buchającym na wielkim kominie. Wieczera już czekała na gospodarza.

Przy stole krzątała się żona pana Wojsława, Olga, z pochodzenia Rusinka, z ponad brzegów Stryja; na ławie w pobliżu kamina siedział młodzieniec lat szesnastu, rozpowiadając coś siedmioletniej wesołej dziewczynce. Były to dzieci pana Odrowąza, młodszy syn Jan i córka, którą po matce nazwano Olgą. Starszy ich brat już od dwóch lat był poza domem, na dworze wojewody Spytka z Melsztyna.

Pan Wojsław, człek wielkiego wzrostu, lat pięćdziesięciu, silny i czerstwy, wszedłszy do izby, zrzucił kożuszek i zasiadł do stołu; rodzina tuż obok zajęła miejsca.

— Ładną jesień nam Bóg dał — odezwał się gospodarz — i choć wiatr trochę chłodu przynosi ku wieczorowi, to i tak dzivo, że jeszcze śniegu nie mamy. Inne lata tu w górach we wrześnie już zima się zaczynała, już to październik, a jeszcze dnie prawie gorące.

— Babie lato, jak rzadko — rzekła Wojsławowa.

— Zebyż choć to babie lato królowę nam przyniosło! — westchnął mąż.

— Możebyśmy Kazika zobaczyli, bo pokąd pani niema, w ciągłych rozjazdach cały dwór pana wojewody.

— Cały chyba nie — odrzekł Odrowąż z uśmiechem zadowolonia — ciurów to on doma trzyma, a choć mi do mego starszego tęskno, chętniebym bez niego i rok jeszcze siedział, bylebyśmy się królowej doczekali.

— Królowa węgierska obiecuje ciągle dać nam swą młodszą, Jadwigę, lecz jakoś jej się nie śpieszy — wtrąciła matka.

— Mówił Kazik, że pan wojewoda nie traci nadziei i choć sam już nie może jechać na Węgry, bo się nasi panowie zarzekli, iż więcej poselstwa nie wyślą, to jednak ma on tam swoich zaufanych, którzy za niego w Budzie działają. Pilno nam bardzo króla potrzeba, bo bezkrólewie już chyba wszystkim dokuczyło. Nawet Ziemko, książe mazowiecki, co to już był królem obwołany, podobno wolałby spokój, niż ciągle wojny ze swoimi. Wielka to niedola, gdy król osierocił naród; ano, wola Kazimierza była, byśmy z Węgrami społem jednego pana mieli i przez to silni byli. Wielki król miał wielką myśl i dobra naszego pragnął, lecz, jak dotąd, to ten wspólny pan polski i węgierski dobrego nie przyniósł nam nic, a złego siła. Nie godzi się mówić źle o zmarłych, ale bodaj czy nie lepiej nam będzie, gdy król Ludwik zmarł. Węgrzy go wielkim zwą — był im ojcem, lecz nam ojczymem. Chociaż Jadwiga dzieckiem prawie,

lecz już to dobro nam przyniesie, że ustaną wasnie i wojny domowe.

— Ferencz, winiarz, powrócił niedawno z Węgier i cuda opowiada o Jadwidze — rzekła Odrowążowa — słyszałam to od księdza, który był w Sączu. Choć lat dziecinnych, ma być wielkiego rozumu i dobroci anielskiej, byle jej nie było obco wśród nas i tęskno do matki; toż to dziewczeczka lat czternaście.

— Niech tylko przybędzie! — zawołał pan Wojsław — my ją taką miłością otoczmy, że będzie musiała pokochać ludzi i ziemię, której dziad jej był ojcem. Wspomnienie Kazimierza Wielkiego wielką ją uczyni, i będzie wkrótce godną następczynią jego. I naród nasz stanie się znów innym, niż teraz. Bez pana rozpuścili się wielmoże, bo i ręki brak silnej, coby ich skarciła, i przykładu nie staje, za którym isyby trzeba i można. Ale to się wnet zmieni. Tyle lat pracy wielkiego ojca naszego nie może pójść na marne: we wnuczce jego odżyje myśl jego i stanie my się znowu silni i pojednani.

Pan Wojsław mówił gorąco. Oczy mu się zaświeciły, gdy wspomniawszy wielkiego króla Kazimierza, pod którym walczył od lat chłopięcych, którego wielbił nad wszystko.

Żona i dzieci słuchały go z zajęciem, nawet mała Oleńka, której przedtem zaczęły się kleić oczęta, wsłuchiwała się w ojca i, choć nie rozumiała dobrze słów jego, czuła, że słowa piękne były.

— Gdy Bóg pozwoli powitać królowę — rzekł po chwili pan Wojsław — i zaczyna się boje, bez których obejść się trudno, osobliwie że Krzyżacy już dziś chciwie wyciągają łapę po naszą ziemię, wtedy ty, Janku, musisz na koń.

— Ach, ojczy, jak ja pragnę tej chwili! — zawołał chłopak. — Wszak przyrzekliście, że gdy Kazimierz przyjedzie, wyślecie mnie z nim na dwór pana z Melsztyna.

— I dotrzymam. Ucz się robić bronią i harcować na koniu, abys był każdej chwili gotów.

— Gdybym miał towarzysza, ojczy, łatwiejby mi wyuczyć się...

— Nie mając go, musisz się uczyć ze mną i sam.

— Prosił mnie dziś Zbyszek, bym się z nim spróbował — zaczął Janek nieśmiało.

— Ani mi się waży! — krzyknął ojciec.

Janek zamilczał.

Odrowąż rozsierdzony powstał z ławy.

— Pamiętaj to sobie — rzekł do syna z naciskiem — byś tych... wrogów unikał zdala i nie waży się słowa do nich przemówić!

Janek w milczeniu ucałował rękę ojca i na dany znak wyszedł z izby. Matka wyprowadziła Oleńkę, by ją do snu ułożyć.

Pan Wojśław chodził wzburzony po komnacie. Od czasu do czasu rękami poruszał niecierpliwie i jakby odgrażał się nimi. Po chwili wróciła żona.

— Pilnuj i ty, by dzieci z temi tam nigdy się nie spotykały, ja zakazuję!...

Długo nie mógł się pan Wojśław uspokoić po wzburzeniu, jakie go opanowało na wspomnienie sąsiadów. Zawsze łagodny, dobry dla swoich i cudzych, pan Wojśław był wrogiem swego sąsiada, a raczej utrzymywał, że ten sąsiad jest jego śmiertelnym wrogiem.

Nienawiść ta obopólna dawno już trwała, a powodem jej była ziemia.

Do Grabowej, wsi pana Wojśława, bogatej w las i wodę, lecz ubogiej w ziemię orną, przytykała wieś Polana, położona więcej na północ, w kotlinie górskiej, mająca sporo roli. Otóż przed laty dziesięciu właściciel Polany chciał ją sprzedać, bo człek był oddany wojaczce, ziemię i gospodarstwo mniej sobie ważył, niżli wyprawy wojenne. Pan Wojśław zabiegał o kupno Polany, bo mu się ziemi bardzo chciało, a że już do jego wsi przylegała, bardzo mu była na rękę. Tymczasem trafił się inny kupiec, pan Maciej z Rudawy, któremu Polana podobała się, i choć w owe czasy ziemi było podostatkiem, napał się tego kawałka, jakby na przekór panu Odrowążowi. Możeby się było panu Wojśławowi udało Polanę kupić, gdyby nie wplątał się w tę sprawę Wolf, Niemiec, dzierzący w Polanie szynk, który tak zręcznie zabiegał, iż wkońcu pan Maciej ziemię nabył.

Tak więc nowe sąsiedztwo zaczęło się niezgodą, a że obaj sąsiedzi byli ludźmi krwi gorącej, więc też jeden drugiemu nie szczędził słów, które usłudni podżegacze donosili z dodatkami. Wolf brał stronę pana Macieja i opowiadał mu niestworzone rzeczy o panu Wojśławie i o tem, co on na nowego sąsiada wygaduje. Pan Maciej, może przez wdzięczność, że mu Wolf pomógł przy kupnie, sprzyjał mu i pozwalał w Polanie gospodarować, tembardziej iż sam nie był czynny; osiadł w tych stronach, smutny po stracie żony, z jedynym synkiem Zbyszkiem.

Na pana Wojśława obrażony, nie myślał się do niego zbliżyć, a że mu się zdawało, iż Wolf jest mu przychylny, więc używał go do wszystkiego.

Zrazu pani Olga starała się ułagodzić męża i pogodzić sąsiadów, lecz wszelkie jej wysiłki były daremne. Z każdym dniem nienawiść rosła. Tłumaczyła żona, że przecież to nie grzech, że pan Maciej ziemię nabył, kiedy mu się podobała. Mąż z gniewem na to odpowiedział:

— Tak, jakby to ziemi na świecie nie było! Mógł znaleźć sobie lepszą, lecz zagarnął tę podstępem, by mnie nie dać się

rozszerzyć. Jeszcze przebaczyłbym mu, gdyby sam chodził koło roli, gdyby tę ziemię kochał! W osadzie trzy karczmy, gdy u mnie i jednej niema.

Dzieci nie pojmowały powodu nienawiści sąsiedzkiej, lecz wierzyły, iż skoro ojciec zabrania im zbliżać się do dworu Polany i jego mieszkańców, to z pewnością tak dobrze jest, i szanowały wolę rodzica. Czasem im tęskno było, pragnęły towarzysza zabaw, tembardziej że Zbyszek Rudawski, gdy się z nim w polu lub lesie spotkały, pozdrowiał ich grzecznie i do zabawy wspólnej zapraszał; lecz ojciec gromił ich za takie mimowolne spotkanie i zbliżać się nie pozwalał.

Noc już zapadła, we dworze wszystko ucichło, gospodarstwo i służba spali snem ludzi, którzy cały dzień spędzili na pracy.

Północ już była bliska, gdy pan Wojśław, który ucho miał czujne, usłyszał szybki tętent konia i zaraz potem silne stukanie do bramy. Zerwał się z pościeli, odział szybko, szablę naga w jedną, klucz w drugą wziął rękę i wybiegł na podwórze. Przy bramie stał stróż, który nocną straż trzymał. Jeszcze nie zdążył odezwać się, gdy pan Wojśław, poznawszy głos czekającego za bramą, krzyknął:

— Kazik!

— Sam! — odpowiedział młody, dźwięczny głos.

Zaczęto prędko odsuwać drąg, zapierający bramę; sam pan Wojśław parobkowi pomagał.

Kazimierz, starszy syn pana Wojśława, już z konia był zlązł i, ledwo bramę otworzono, poskoczył na powitanie ojca, który schylającego się do kolan chwycił w objęcia, aż mu szabla z brzękiem wypadła.

— Zbrojno witacie mię, ojczel! — zaśmiał się Kazimierz.

— Czyż mogłem się spodziewać o takiej późnej porze, że to nie napad, lecz ty, synu mój? Czasy niepewne, niemało złoczyńców włóczy się po kraju...

— Ustanie to, ustanie, ojczel drogi — zawołał z radością syn — królowa jedzie!

— Jedzie! Królowa jedzie! — zawołał ojciec z takim wyrazem szczęścia, jakby mu zbawienie zwiastowano. — Bogu niech będą dzięki!

Raz jeszcze chwycił syna w objęcia i, prowadząc go do domu, mówił pośpiesznie:

— Bodaj cię Bóg nagrodił za taką wieść, za to szczęście, które zwiastujesz! Mówże, skąd przybywasz? pewneż to, czy tylko pogłoska, jak nieraz bywało?

— Pewne, ojczel, wracam z Węgier; z Budy wyruszyłem z orszakami królowej, w drodze go wyprzedziłem i na godzinę

tylko w wasze progi zawitałem, by wam to szczęście obwieścić. Dacie mi konia świeżego, bo mój ledwo dyszy, tak gnałem do Polski; muszę do pana wojewody z wieścią, by się co prędzej przygotowano na przyjęcie paui naszej!

Pan Wojśław obudził żonę i dzieci, zwiastując radosną nowinę, kazał żywo dawać posiłek dla Kazimierza i powtarzał raz po raz:

— Jedzie, jedzie wnuczka naszego Kazimierza, ojca naszego!

Nie mógł zapanować nad wzruszeniem. Ukląkł przed obrazem Matki Boskiej na krótką modlitwę. Wstawszy, zbliżył się do Kazimierza i rzekł poważnie:

— Pamiętaj, synu! jakom ja służył tej ziemi naszej i królowi Kazimierzowi, na cześć którego i tobie imię dałem, tak ty do ostatka sił swoich służ tej pani, bo to krew nasza, bo to nasze szczęście.

— Tak mi Boże dopomóż! — odrzekł Kazimierz poważnie.

Sam pan Wojśław wybiegł do stajni, by co najlepszego konia wybrać dla syna, nakazywał, by go dobrze osiodłano, opatrywał i znowu śpieszył do domu, by wypytywać syna o królowę.

— A mówże, mów o niej—domagał się—jaka jest, czy rada, że do nas jedzie, mów wszystko! Toś ty, szczęśliwcz, ją widział, gdy my tu w tęsknocie i niepewności żyliśmy...

— Piękna jako anioł jest — rzekł Kazimierz — a dobroci większej to chyba być nie może. Napatrzyłem się jej zbliżka i nieraz mówiła ze mną, wiedząc, jako jestem dworzaninem pana Spytka z Melsztyna, nad którego nie ma królowa lepszego przyjaciela. On to najwięcej swemi prośbami przyczynił się, iż królowa matka wyprawiła Jadwigę do Polski. Ociągano się z tem długo i nieraz panowie nasi darmo jeździli na Węgry, aż wreszcie zagrozili, że sobie pana sami wybiorą. To skłoniło matkę. Jadwiga też upominała się, iż krzywda dzieje się narodowi, któremu królowę obiecano. Miał też pan wojewoda pomocnika przy boku królowej, piękną Elżę, córkę węgierskiego wojewody Emeryka, z którą jest zaręczony. Ona to przypominała pani, iż pora wyruszyć do swego królestwa, i dopóty mówiła, aż wreszcie skłoniła Jadwigę z jej matką. Jam był tylko ustami, przez które pan wojewoda przesyła swe prośby i rady. Za trzy lub cztery dni będzie królowa w Sączu; ja śpieszę pana mego uprzedzić i pewno wyjedziemy na jej powitanie spory kawał drogi.

— I my wyruszmy — zawołał pan Wojśław, patrząc na żonę.

Ona klasnęła z radości w ręce.

— Ach, jakbym rada zobaczyć królowę! Weźmiemy Janka i Olenkę, niech spojrzą choć zdala na panią naszą.

— Wyjedziem wszyscy do Sącza—postanowił pan Wojśław.

— Choć to kawał drogi, aleć lepiejby się wybrać do Krakowa:—rzekł Kazimierz—tam wjazd będzie wspanialszy, a przytem i koronację zobaczyćby warto.

— Prawda, prawda!

Pan Wojśław zamyślił się trochę. Nierad opuszczał dom, lecz koronacja Jadwigi to uroczystość, jakiej drugiej nie doczekać.

— Przytem i o Janku możnaby coś postanowić u pana wojewody—wtrącił Kazimierz.

Janek z wdzięcznością spojrzął na brata, bo, choć mu w domu było dobrze i rodziców kochał bardzo, jednak, jak każdy wówczas młodzian, rwał się w świat, by prędzej rozpocząć zawód, do którego był przeznaczony, zawód rycerski. Wojewoda Spytka był dalekim krewnym Odrowążów i na Kazimierza bardzo łaskaw, a choć pan to był młody, bo ledwie 20 lat liczył, znaczenie miał wielkie i przy jego boku można się było wiele nauczyć i niemało dosłużyć.

— Masz słuszość, synu—rzekł po namyśle pan Wojśław—jedziemy do Krakowa powitać naszą królowę, a godzi się, by też matka i Olenka zobaczyły nasz gród Krakusowy choć raz w życiu, bo wy, chłopcy, to tam pół życia strawicie. Pojedziemy. Pojedziemy spojrzeć na naszą panią i na grobie króla Kazimierza pomodlić się o pomyślność dla niej i dla ziemi, której ma panować, oby szczęśliwie dla nas i dla niej!

Kazimierz posilił się na drogę, ale pilno mu było. Prosił rodziców, by na dwór pana wojewody zajeżdżali, a choć jego tam nie zastaną, znajdują pomieszczenie gotowe. Kazimierz dopiero z wojewodą w orszaku królowej miał przybyć.

Koń osiodłany czekał już przed domem. Rażno wskoczył nań młodzieniec, czapką z fantazją pokłonił się rodzinie i ze słowami: „do widzenia w Krakowie!“ pomknął za bramę.

2.

Na kilka dni przed św. Jadwigą przystroił się Kraków uroczyście. Domy bogatych panów i kupców, ozdobiono kobiercami i drogiemi materjałami, odrzwia zieleniły się od gałęzi drzew, ulice wysypano zielenią. Kto żyw, wyruszał na ulicę i daleko za miasto na spotkanie oczekiwanej królowej.

Dostojni panowie, duchowni i świeccy, wyjechali naprzeciw miłą poza Kraków, wielu już w Sączu czekało Jadwigi.

Wreszcie usłyszano zdaleka odgłosy muzyki, złożonej z trąb i fletni przeróżnych — tłum, wołając: „królowa jedzie!” cisnął się naprzód.

W świetnym orszaku, złożonym z panów polskich i węgierskich, mając przy boku biskupa krakowskiego Jana Radlicę, który niegdyś był ulubionym lekarzem króla Ludwika, sędziwego Dobiesława, młodego Spytka z Melsztyna, Jana z Tęczyna, Mikołaja z Ossolina, Jana z Tarnowa i wielu, wielu innych dostojników, we wspaniałych szatach, na dzielnym koniu jechała młoda, bo ledwo czternastoletnia Jadwiga do góry Lasoty, zwanej Krzemionkami.

Otoczający królowę nie odwracali od niej oczu, tak zachwycająco piękną była, taka powaga i blask dobroci były z jej lica. A choć cały orszak towarzyszący pani błyszczał świetnością strojów i powagą oblicza, choć niejeden z tych, co przy Jadwidze jechali, po królewsku był wystrojony, — ona tu była panią, królową, ona wszystkich przewyższała blaskiem, który zdawał się roztaczać dokoła jej postaci.

Jak daleko oko sięgało, pełna droga była ludzi, bogato, strojnie przybranych, — bo każdy z panów, co królowę otaczali, miał ze sobą poczet okazały i co miał najdroższego, wkładał na siebie, by okazać, jaki to wielki dła narodu dzień.

Zatrzymał się orszak na Krzemionkach, zaczęły podchodzić procesje, witające królowę.

Najpierw podeszło duchowieństwo całe z chorągwiami, świeckie i zakonne; dalej wspaniałe w aksamity i jedwabie przystrojone rajcowie Krakowa z chorągwią własną; potem wszystkie cechy rzemieślnicze, każdy z chorągwią, na której były wyszyte znaki rzemiosł; a dalej i dalej tłumy strojnych mieszkańców tej ziemi, której młodzieuchna Jadwiga miała królować. Gdy się orszak królewski zbliżył, wszystkie chorągwie pochylły się przed panią, zabrzmiała huczna muzyka, głośne okrzyki na cześć królowej, a zdaleka dolatywało echo dzwonów ze wszystkich świątyń krakowskich.

Mieszczanie złożyli dary i pochód ruszył dalej.

U bram miasta oczekiwała królowę procesja, złożona z tysięcy Krakowianek w białych szatach, z żarzącymi się świecami w ręku. Choć to jesień już była, posypały się kwiaty pod stopy królowej i po kwiatach wjechała w gród Krakusowy, na zamek, z którego jej przodkowie rządzili tym krajem, co teraz z taką radością witał swą długo oczekiwaną i upragnioną panią.

W całym mieście zapanowała radość ogromna: tańczono, śpiewano, ucztowano we wszystkich domach. Królowa tymczasem modliła się w katedrze zamkowej, by jej Bóg dał siły do panowania i uszczęśliwienia narodu. Dopiero po długiej mo-

dlitwie udała się do swych komnat, wypocząć po uciążliwej podróży. Wtedy to i panowie rozjechali się ze swymi orszakami do domów.

Kazimierz pośpieszył konno i strojno, by co rychlej powitać rodziców i rodzeństwo, których dojrzał wśród tłumy; lecz zbliżyć się do nich nie mógł.

Z jakąż radością go witano! Tak był strojny, jakim go jeszcze nie widziano. Mała Oleńka oczu od niego oderwać nie mogła, a Janek spoglądał i powtarzał sobie w myśli: kiedy to ja tak będę wyglądał? Matka pierwszy raz była w Krakowie, więc olśnił ją ten przepych, jakiego nigdy we Lwowie nie widział. Pan Wojśław rad był, widząc syna w orszaku wojewody na pokaznym miejscu, i rozumiał, że go tu, choć młodego, poważano, bo i rodziców przyjęto na dworze pana wojewody otwartymi ramiony. Lecz głównie myśl jego skupiała się około królowej, której widok go olśnił. Ciągłe o niej rozprawił i wreszcie raz jeszcze powtórzył synowi:

— Pamiętaj służyć naszej pani do ostatka sił, do ostatniej kropli krwi! Godna tego być musi, a że słaba niewiasta, dziecię prawie, tembardziej potrzebuje podpory silnych ramion. Jeśli będzie można, jutro zaraz pokłonię się panu wojewodzie, żeby i Janka wzięł, bo widzę, że pan Spytak całą duszą królowej oddany, więc, jemu służąc, jej służyć będzie.

Jeszcze radzono nad tem, kiedy najlepiej będzie pójść do pana wojewody, by mu za gościnę podziękować i o przyjęcie Janka prosić, gdy nadbiegł dworski, zapraszając na posiłek.

W ogromnej sali w trzy rzędy ustawione stoły uginały się pod ciężarem mis i potraw, służba liczna przynosiła coraz to nowe dania, obficie dolewając wina ucztującym.

Pani Olga z córką zostały w izbie Kazimierza, lecz i o nich nie zapomniano, naniesiono im jadła, że choćby na tydzień starczyło.

Kazimierz zaznajamiał ojca i brata z dworzanami pana wojewody i licznie zebraną szlachtą. Wnet byli jakby w domu. Ucztowano długo i wesoło, choć gospodarza z nimi nie było. Spytak z Melsztyna przyjmował w drugiej komnacie dostojników węgierskich i polskich.

Tu dowiedzieli się Odrowążowie, że koronacja odbędzie się za parę dni, 15 października, w dzień świętej Jadwigi, patronki królowej.

Zabawy huczne trwały w Krakowie bez przerwy, dzień po dniu. Na niedzielę, 15 października, przygotowywano się z większą jeszcze, niż dotąd, wspaniałością.

Nadszedł dzień upragniony. Zrana o wczesnej godzinie zgromadziło się na zamku całe wyższe duchowieństwo i świeccy

dostojnicy, pomiędzy którymi widać było także dwóch biskupów węgierskich, towarzyszących Jadwidze.

Wyszła na wielką salę młodziuchna Jadwiga, strojna w ciężkie szaty, pod którymi ugięła się jej wąta postać. W albie, tunice, dalmatyce i płaszczu królewskim, w złotych sandałach, z rozpuszczonymi włosami, wyglądała jak obrazek święty.

Powitali ją zgromadzeni panowie z czcią i tą serdecznością, którą jej ciągle okazywano: zdawaćby się mogło, że ta młodziuchna pani wypiąstowana została przez tych, co ją teraz otaczali z prawdziwie ojcowską czułością... Opuściła swój dom rodzinny, matkę i siostrę, by panować w tej nowej ojczyźnie, — więc chciano ją otoczyć ojcowską opieką, by nie czuła się sierotką. Przestała być dziećciem w swym kraju, by się stać matką narodu, który ją nieznaną jeszcze czcił i kochał.

Ruszył pochód do katedry na Wawelu. Przodem szli panowie świeccy i duchowni we wspaniałych strojach, biskupi w infułach, z pastorałami w ręku. Dalej najwyżsi dostojnicy państwa nieśli koronę, berło, i miecz. Za nimi postępowała Jadwiga, przy niej kilka pań i przełożonych klasztorów krakowskich, wreszcie liczny orszak dworzan z płonącymi świecami w rękach.

Złożono na ołtarzu oznaki godności królewskiej; Jadwiga stanęła u stopni tronu.

Arcybiskup odprawiał mszę świętą. Przed Ewangelią zapytał: — Chcesz zachować wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu?

— Chcę, tak mi Boże dopomóż! — odpowiedziała Jadwiga dzwięcym głosem, klękając.

Nastąpiło pomazanie krzyża i prawego ramienia olejem świętym, poczem arcybiskup włożył na głowę królowej koronę przedziwnej roboty, złożoną z rozkwitłych lilij złotych.

Zagrzmiała muzyka, odezwały się tysięczne głosy na cześć nowej pani, które lud zgromadzony za kościołem powtarzał radośnie bez końca.

Usiadła królowa na wspaniałym, złotogłowie krytym tronie, dwaj panowie podtrzymywali koronę, zbyt ciężką na młodocianą główkę.

Po długiej ceremonii kościelnej, wśród radosnych okrzyków i muzyki, ruszył pochód do zamku, gdzie wspaniała czekała uczta.

Usiadła Jadwiga na tronie u stołu, otoczona licznym dworem — i prawdziwie szczęśliwą czuć się musiała, widząc, jaką radość wniosła do Krakowa.

Nazajutrz jeszcze jedną ceremonję musiała odbyć młoda

pani — oto przyjęcie hołdu i przysięgi od mieszczan na rynku krakowskim. Tu ujrzała, że nie tylko szlachta była bogatą i strojną — równy niemal przepych jaśniał z szat świątecznych mieszczan, zdobnych w złoto i drogie kamienie.

Po hołdzie mieszczan krakowskich dni jeszcze kilka trwały huczne zabawy w mieście. Panowie, mający tu swoje dwory, ugaszczali przybyłych z dalszych stron krewnych, powinowatych i znajomych.

Dopiero po tygodniu zaczęto się rozjeżdżać. Spokój wracał do miasta; ludzie oddali się swym codziennym zajęciom, przerwanym przez uroczystości koronacyjne.

Panowie świeccy i duchowni, zajmujący najwyższe urzędy koronne, skupili się około królowej. Młoda, nieświadoma spraw kraju, potrzebowała ona ich rady i pomocy, by rozpocząć pracę dla dobra tej ziemi, która lat dwanaście znała króla tylko z imienia i wskutek tego nie mało zaznała niedoli.

Czas było radzić i działać. Ci, którzy do rady koronnej nie należeli, usuwali się powoli z Krakowa do zagród rodzinnych.

Odroważowie, obejrawszy wszystkie osobliwości stolicy, umieściwszy Janka na dworze pana wojewody Spytka z Melsztyna, który nie mógł się dość nachwalić zalet Kazimierza i spodziewał się, że i Janek nie gorszym będzie od brata, wyruszyli z Oleńką do Grabowej.

Smutno im było bardzo, lecz rozumieli, że chłopcy muszą koniecznie uczyć się, jak służyć krajowi, czy słowem, czy bronią, — a ku tej nauce najlepiej nadawała się wówczas służba na wielkopańskim dworze. Tam to młodzież zaprawiała się do pióra w kancelariach pańskich, stamtąd wyruszała w przeróżne strony w poselstwach, tam wreszcie uczyła się sztuki robienia bronią i wojowania z nieprzyjaciółmi, gdy kraj napadli.

Dwór pana wojewody doskonałą był szkołą służby publicznej, bo choć Spytka był bardzo jeszcze młody, ale, jako wojewoda krakowski, już przez samo stanowisko wielkie miał znaczenie. Przytem, acz młody latami, rozum miał niepośledni i odwagę nad wiek. To też szanowali go starsi w radzie królewskiej nie dla urzędu tylko, lecz dla głowy, pełnej myśli zdrowych i trafnych.

Bez Spytka nic nie można było postanowić, a często, gdy inni rady znaleźć nie mogli, on ją wynajdywał. Toż i przybycie Jadwigi do Krakowa, pomimo ciągłych zwlekań ze strony jej matki, nie małą było Spytka zasługą: sam on kilkakroć jeździł na Węgry i przez zaufanych a sprytnych pomocników pomyślał, aż się wreszcie doczekano przybycia Jadwigi. I towarzysze w ra-

dzie i sama królowa oceniali zasługi Spytka i wnosili stąd o jego gorliwej a pożytecznej dla kraju pracy.

To też za szczęście poczytywać sobie musieli Odrowążowie, że Spytak przyjął obu ich synów na swój dwór; a choć wiedzieli, że im smutno będzie w domu z małą tylko dziewczynką, pocieszali się myślą, iż synowie wyjdą na ludzi pożytecznych i że przy pomocy wojewody przysporzą sobie chleba na późne lata, gdy, syci trudów i sławy, zechcą osiąść na roli. Ziemi mieli królowie poddostatkiem i chętnie obdarzali nią tych, co dla dobra tej ziemi zdrowie i życie nieśli w ofierze; służąc zaś wojewodzie, oddanemu całą duszą królowej, młodzi Odrowążowie tym sposobem jej służyli.

Kazimierz z Jankiem odprowadzili rodziców i siostrę kilka mil za Kraków, ze łzami uściskali kolana rozrzewnionych rodziców, ucałowali Oleńkę i pośpieszyli na dwór wojewody, który żądał ich rychłego powrotu, bo choć czas zdawał się spokojnym, roboty czekało niemało, a rąk do niej nigdy nie było dość.

Wojewoda, sam młody, acz zdaniem starszych nie gardził, lubił otaczać się zdolną młodzieżą, wiedząc, że jej odwagi i sił nigdy nie braknie. Rwała się też młodzież na dwór pana wojewody i w ognie za niego skoczyć była gotowa. Wszyscy starali się na wyścigi okazać istotnie pożyteczni, bo wiadano, iż Spytak na ludziach się zna, pochlebstwa niecierpi, a prawdziwą zdolność i zasługę ocenić potrafi. Więc nie zazdrośczone sobie wzajemnie łask pańskich, lecz starano się na nie zasłużyć.

Jadąc, rozmawiali bracia o dworze wojewody i służbie. Kazimierz już lat trzy był na dworze Spytka i znał pana dobrze, a mógł się poszczycić, że i łaski u niego miał. Janek trochę był nieśmiały, lecz spryt patrzył mu z oczu i ciekawość wielka, słuchał więc pilnie opowiadań brata i z nich uczył się nowych obowiązków. Chłopak był silny i żwawy, do szabli i konia zaprawny, rozsądku mu nie brakowało, poszanowanie dla starszych i przełożonych miał głęboko wpojone, więc mógł się spodziewać, iż przy Boskiej pomocy, choćby obowiązki były ciężkie, potrafi im podołać. Prosił też brata, by mu był słowem i czynem pomocny.

— Świata i ludzi nie znam — rzekł — ale chcę nauczyć się wiele, by być pożytecznym dla bliźnich i kraju; dotąd uczył mię i prowadził ojciec, teraz ty mi go zastąp.

— Bratem mi jesteś — odpowiedział Kazimierz, ściskając Janka; — co sam umiem, tego i tobie udzielię. Pójdziemy ręką w rękę, bo tylko zgoda i miłość budują. Braćmi nietylko z imienia, lecz i z czynów będziemy.

Na początku grudnia 1384 roku w jednej z wielkich komnat dworu pana wojewody zebrało się wielu duchownych i świeckich panów rady królewskiej. Narady trwały już długo, a z poważnie zamyślonych twarzy zgromadzonych widać było, iż nad ważną radzą sprawą i trudno im powziąć postanowienie.

Podzieleni na małe kółka, rozmawiali półszepcetem, co chwila namyślając się, milknąc.

— Na jedno zgoda pomiędzy nami panuje — odezwał się Jan z Tarnowa: — żadną miarą nie możemy dopuścić, by Jadwiga poślubiła Wilhelma, księcia rakuskiego.

— Za nic, za nic! — zawołał Tęczyński. — Nam trzeba króla, coby w kraju mieszkał i ziemię tę miłował. Nie zapominajmy, ile to Słowian padło pod mieczem niemieckim nad Odrą i Łabą. Wieki całe trwała ta rzeź i dziś niedobitki na własnej ziemi tułać i ukrywać się muszą. Choćby się okrył płaszczem przyjaźni, wrogiemby się stał niebawem; i królowa, która go miłuje, nie zdołałaby uratować nas od zagłady.

— Powiadają — wtrącił jeden z panów, — że Jadwiga w dziecięcych jeszcze latach została zaślubioną księciu rakuskiemu Wilhelmowi i że dziś, stawszy się panią swej woli, pragnie ślubu dotrzymać, a ślub taki podobno jest ważny.

— Jako żywo, ślub taki nie istnieje — zawołał biskup poznański Dobrogost. — Mogą to być zaręczyny dzieci z woli rodziców, ale ślub podług praw kościoła mogą zawierać tylko ludzie dorośli.

— Więc ojciec święty zwolniłby królowę z tych ślubów?

— Zwolnić nie może, bo ślubów nie było; to poprostu umowa rodziców, że gdy dzieci dorosną, pobiorą się. To tylko zausznicy księcia wymyślili te śluby nieistniejące, by nas zastraszyć i wprowadzić Wilhelma na tron polski — tłumaczył biskup.

— Lecz cóż uczynić, gdy Jadwiga pragnie mieć Wilhelma mężem?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Wiem-ci ja, że Jadwiga upiera się przy tem, by zostać żoną Wilhelma; — odezwał się poważny Dobiesław z Kurozwęk — lecz mam nadzieję, iż potrafimy ją od tego odwieść, gdy jej przełożymy, że zaręczyny dzieci nie są ślubem, — co najlepiej uczynią i swą kościelną powagą poprą księża biskupi; a powtóre, ukażemy naszej pani, jakie niebezpieczeństwo nam grozi w razie wprowadzenia księcia na nasz tron.

— Królowa, acz młoda, rozum ma wielki i miłość wielką

dla swego kraju — rzekł inny z panów, — więc zgodzi się na naszą prośbę, gdy jej przełożymy, iż w tem zbawienie nasze. Pójdzie za przykładem Wandy.

— To pewna, że my tamtego dopuścić nie możemy—odezwał się Tęczyński; — lecz kogóż wybrać na małżonka dla naszej pani, na króla, któryby stanął przy boku słabej niewiasty i dzielnie przewodniczył narodowi?

I znowu zapanowało milczenie, bo choć ten i ów miał myśl jaką, żaden pierwszy nie chciał wystąpić.

Biskup Dobrogost coś szeptał z młodym Spytkiem, który głową przytakiwał. Przyłączył się do nich Dobiesław i, kiedy z nimi szepotał, widać było na jego twarzy wielkie zdziwienie. Cicha rozmowa trwała dość długo, wreszcie biskup Dobrogost odezwał się:

— Nie braknie książąt i królów, którzyby chętnie przyjęli koronę polską i rękę Jadwigi, bo korona to bogata, a królowa tak piękna, iż chyba piękniejszej nie znajdzie na świecie. Lecz nam trzeba króla, któryby był nam bliskim, sercem całem oddał się narodowi, — któryby powiększył nasze królestwo, odebrał od wrogów ziemie nam zabrane, zgniółł tych sąsiadów, co nas ciągle niepokoją, co czyhają na nasz dobytek... Mamy naszych książąt, potomków Piasta, lecz o tych niema co myśleć. Większa ich część zniemczała zupełnie. Jakżeby dbali o nasz naród, gdy swego nie uchronili od zniemczenia? Jest dwóch jeszcze Piastowiczów w Polsce: jeden z nich ani myśli o koronie, drugi pragnął jej, lecz nie dostał, — obaj słabi, bezsilni wobec wrogów, co nas najeżdżają. Dziś dajmy koronę jednemu z Piastowiczów, a mamy jutro wojnę domową ze wszystkimi tymi, którzy się sądzą godnymi tej korony. A gdy zaprzątnięci wojną domową wyczerpiemy nasze siły, odwieczny wróg wpadnie, by urwać tej ziemi, której i tak już niemało nam zabrano. Przypomnijmy, bracia, dlaczego to nasz wielki Kazimierz, schodząc ze świata bezpotomnie, nie przekazał korony potomkom Piasta, choć ci z krwi nam i jemu byli najbliżsi, lecz królowi węgierskiemu oddał berło? Bo pragnął widzieć Polskę silną, bo gdy sam tego dokonać nie mógł, chciał przez następcę swego zgnieść wrogów naszych... A wśród tych wrogów najpierwszym, najniebezpieczniejszym jest zakon, który od półtora wieku grób pod nami kopie. Spodziewał się Kazimierz, że wespół z Węgrami podołamy wrogom, że się wzbijem wysoko, jak nigdy przedtem. Stało się inaczej. Król węgierski z imienia tylko był polskim, a ziemię naszą za jego czasów szarpano ze wszech stron. Dziś pora ratować się, a ratunek w wyborze króla, męża Jadwigi.

— Prawda, prawda! — powtórzyli wszyscy.

— Dwóch wrogów mamy bliskich — mówił biskup — je-

dnego nieco dalej. Bliżsi — to Krzyżacy, nawała, która pod tą czy inną nazwą od wieków tępi plemię słowiańskie—i Litwini poganie, dla których napady i łupiestwa stały się igraszką codzienną. Dalszym wrogiem są Tatarzy, groźni nam, lecz groźniejsi dla Rusi, którą rok rocznie pustoszą.

— Myślałem niemało nad naszą niedolą i błagałem Boga o natchnienie, o radę, jak się ratować. Dziś myśl wam podaję. Nie dziwcie się jej, a złą się okaże, będziemy szukali innej. Oto sądzę, iż z jednym z wrogów naszych nietylko pogodzić, lecz zbratać się możemy, by drugiego, chytrzejszego, groźniejszego, a nam wspólnego, pokonać. Powołajmy tedy na tron litewskiego księcia Jagiełłę...

Szmer powstał w sali. Niektórzy z panów porwali się z siedzeń, wszyscy zaś byli zdumieni ogromnie.

— Jagiełłę, poganina, który tylekroć napadał na nas i dobytek łupił?! — wołano dokoła.

— Tak, Jagiełłę, który ma matkę chrześcijankę, którego paru braci już dawno chrzest święty przyjęło; Jagiełłę, który się ochrzczi i wiarę na Litwie zaszczepli... Dziś on nam wróg — jutro bratem będzie, bo ma z nami wspólnego wroga, Krzyżaków, którzy przysięgli Litwie zagładę. Litwa z Rusią oddawna zbratana, tu i ówdzie poznała już wiarę Chrystusową, więc nawrócenie nie będzie trudne. Wespół z Litwą zgnieciemy raz na zawsze Krzyżaków, odpędzimy Tatarów od nieszczęśliwej Rusi, wzrosniemy w potęgę. A przytem, czyż nie będzie to zasługą przed Bogiem, gdy nawrócimy pogańską Litwę, która raczej zginie, niżby miała przyjąć chrzest z rąk Krzyżaków?

Biskup mówił z zapalem, który rozgrzewał powoli zgromadzonych.

— Wielka to myśl, lecz czy się da spełnić? Czy Jagiełło chrzest przyjmie, czy Litwę ochrzczi? A przytem mówią, że bardziej podobny do dzikiego zwierza, niżli do człowieka — odezwał się Tarnowski.

— I chrzest przyjmie, i Litwę ochrzczi, i z nami połączy, a do zwierza tyle podobny co i my — zawołał Dobrogost.—Widywałem Jagiełłę nieraz, gdym od papierza do niego posłował, i wiem, co myśli. Nadarmo słów nie rzucalbym. Pytajcie Spytka, on ma powinowatych na Rusi, którzy często zajeżdżają na Litwę i znają Jagiełłę.

— Prawda-li to? — pytano.

— Prawda szczerą. Jużem ja zasięgał języka — rzekł Spytka — bo mi się biskup zwierzył ze swego myślenia. Wiem to napewno, że Jagiełło człek, jako my, łagodny i spokojny, gotów chrzest przyjąć, gdybyśmy go przyjęli na króla. —



cze wysłać kogo zaufanego na zwiady, gdy się zgodzimy na to, iż godziwie i dobrze byłoby poślubić Jadwigę Jagielle.

Gwar powstał. Mówiono za Jagiełłą i przeciw niemu długo. Biskup Dobrogost zachęcał, by od tej myśli nie odstępowano. Spytek go popierał żarliwie, — aż wreszcie późną porą nastąpiła zgoda. Nawet ci, którzy zrazu byli przeciwni, teraz z zapamiętaniem chwytali się tej myśli. W Jagielle widziano potęgę. Rozszerzenie chrześcijaństwa, wspólna walka przeciw Krzyżakom, odzyskanie ziem utraconych, walka z Tatarstwem — wszystko to było takie potężne, iż postanowiono wszelkich sił dołożyć, by połączenie Jadwigi z Jagiełłą, Polski z Litwą do skutku doprowadzić.

Zrazu postanowienie to miało być tajemnicą, dopokąd posłowie, których miano zaraz nazajutrz wysłać na Litwę, nie upewnią się, iż Jagiełło chrzest przyjmie i zgodzi się na połączenie się dwóch narodów przeciwko wspólnym wrogom.

Poselstwo miało być nieliczne, by nikt nie zwracał na nie uwagi. Wybrano dwóch zaufanych, którym Spytek dodał Kazimierza Odrowąża. Nauczono ich, co mają czynić; biskup Dobrogost dał im pisma do franciszkanów, którzy mieli w Wilnie ukryty kościółek i klasztor, i do wielkorządcy wileńskiego Hanki, z którym był znajomy, a który miał mir i zachowanie u Jagiełły.

Drugiego dnia po naradzie wyruszyli wieczorem posłowie na Litwę tak cicho, że nikt się nawet nie domyślił, w jaką daleką wybrali się podróż.

Panowie krakowscy naradzali się w cichości, jak nakłonić królowę do zawarcia małżeństwa z Jagiełłą, lecz postanowili do powrotu wycich wysłanników żadnego jawnego kroku nie czynić. Spodziewano się, iż wiadomości z Litwy będą pomyślne, i że królowa, dla dobra wiary i kraju, odda rękę księciu litewskiemu, choćby ten nie był taki gładki, jak rakuski Wilhelm.

4.

Przy końcu grudnia 1385 roku w noc mroźną czterech jeźdźców stanęło przed bramami Krakowa. Jeden z nich uderzył w róg; przybiegła straż, pytając, kto tak późno dobija się do miasta.

— Dworzanie pana kasztelana i pana wojewody — odpowiedziano z dołu.

Żołnierz miejski pobiegł do dowódcy straży i rychło z nim powrócił. Przez kratę u furty wąskiej, znajdującej się obok

bramy, rozpytywał się dowódca, kto i dokąd, a upewniwszy się, że to nie wróg, wpuścił jeźdźców.

— Dworzanami panów jesteście — rzekł, śmiejąc się — a szkapy macie schudzone i odzież wytartą, gorzej chudopacholskich ciurów.

— Przystroim się jutro paradniej, gdy się tak waści podobą; a jeśli nie wierzycie naszym słowom, to jedźcie z nami do naszych panów — zawołał Kazimierz nieco obrażony.

Dowódca roześmiał się szczerze i nachylając się do Kazimierza, szepnął:

— Sam pan Spytek w gorącej wodzie kąpany, już od czterech dni zajeżdża tu i pyta, czyś waszmość nie przybył, a tak mi waści opisał, żebym was wśród wojska całego poznał. Jedźcie z Bogiem!

Kazimierz poszeptał z towarzyszami, dwóch z nich pożegnał, trzeciego wziął z sobą i popędził ku dworowi wojewody.

Tu widać straż na nich czekała, bo zaraz otwarto bramę. Oddawszy konie, pośpieszył Kazimierz z towarzyszem do swego mieszkania.

Janek zerwał się z posłania i radośnie rzucił się bratu na szyję.

— Bywaj, Kazik, bywaj! a tożem się zatęsknił za tobą!

— Niedługom bawił — odrzekł Kazimierz, ściskając Janka — ale mi bez ciebie smutno było.

— Pan wojewoda już spokoju znaleźć nie mógł, a choć słowa nie rzekł, widać to po nim było, że cię niecierpliwie czeka.

— Brat mój — rzekł Kazimierz, ukazując Janka towarzysowi swemu — a to przyjaciel nasz wielki; nie pytaj o imię, dowiesz się później.

Gość uściśnął dłoń Janka w milczeniu. Janek spojrzął na przybyłego ciekawie, lecz po słowach brata więcej pytać nie śmiał.

— A teraz, braciszku, tyś tu gospodarzem, ugość nas czem, bośmy zdrożeni bardzo.

— Żem też o tem zapomniał! Darujcie! — zawołał Janek. — Jedzenia wiele nie znajdzie, ale wina mam sporo i pewno nie ladajakiego.

Zakrzętnął się, podał chleba, wędliny i omszały gąsiorzek z kubkami postawił na stole.

— Skądże to, braciszku, nabyłeś takiego specjału? — zapytał Kazimierz, oglądając gąsiorzek i nalewając wina, które wonią silną i przyjemną napełniło izbę.

— Na Węgry jeszczem nie jeździł — odparł śmiejąc się Janek. — Dar to pana wojewody dla ciebie. Dni temu kilka

kazał mi dać sześć takich gąsiarek z piwnicy, żebym zachował dla ciebie, bo przyjedziesz może nocą zziębnięty, to ci się przyda.

— Miłuje was pan wojewoda — odezwał się gość, który dotąd w milczeniu się posilał.

— Dobry pan dla wszystkich jest — rzekł Kazimierz — a na mnie nad zasługi łaskaw.

— Nie mówcie tego, bo to, coście dotąd uczynili, już jest zasługą, a gdy Bóg da dzieło uwieńczyć, nie będzie dość wielkiej dla was nagrody.

— Narzędziem jestem tylko, zasługę panu wojewodzie przypiszcie — odrzekł skromnie Kazimierz.

Przybyli posili się szybko i udali się na spoczynek. Późno już było.

Kazimierz spał krótko.

Daleko jeszcze było do świtania, gdy się zerwał z pościeli.

Szybko się umył i odział przystojnie, zmówił ranną modlitwę i pobiegł do mieszkania pana wojewody. Tu z jednym ze starszych dworzan, który właśnie się przebudził, coś poszeptał i do swej izby powrócił.

Janek już także był na nogach; chłopak, dany mu do posług, w pierwszej komnacie nałożył drew na kominek i krzątał się około przyrządzenia polewki na śniadanie. Niebawem też i gość się przebudził.

Zasiedli do śniadania.

Gość był milczący, Janek rozmowy nawiązać nie umiał, bo o najciekawszą rzecz, skąd brat przybywał, pytać nie mógł; Kazimierz niespokojnie ku drzwiom spoglądał.

Jeszcze śniadania nie skończyli, gdy wbiegł chłopak donosząc:

— Pan wojewoda prosi.

Zerwał się Kazimierz i rzuciwszy gościowi: „czekajcie na mnie!“ — wybiegł z izby.

W niespełna pół godziny powrócił, zabrał z sobą gościa i znikł.

Długo ich nie było, lecz gdy wrócili, poznał Janek łatwo, że rad im musiał być wojewoda, bo obaj byli weseli i zadowoleni. Rozgawędził się gość z Jankiem, opowiadając mu o szerokim świecie, który zwiedził, o wielkich grodach niemieckich, o Rusi mlekiem i miodem płynącej, — a młody chłopak nie mógł się dość nadziwować temu, co słyszał. Gość mówił płynnie, trochę z obca zaciął, znać było, że dawno w Polsce nie bywał i rad słuchał opowiadań o tutejszej ziemi, o ludziach i sprawach, a osobliwie o królowej, której Odrowążowie nie mogli się dość nachwalić.

Gościa widocznie nie chciano pokazać na dworze wojewo-

dy, bo tego dnia, wbrew zwyczajowi, służba przyniosła obiad do mieszkania Odrowążów. Obaj też prawie nie wychodzili z komnat swoich, zapewne by gościowi czas się nie dłużył.

Tymczasem na dworze wojewody ruch panował ogromny. Zajeżdżali panowie duchowni i świeccy licznie, coraz to nowi, a nikt nie wyjeżdżał. Po obiedzie powołano znowu Kazimierza i jego towarzysza.

Bawili tam długo, a gdy wrócili, Kazimierz zaczął przygotowywać swój najwspanialszy strój.

Janek zdziwił się temu.

— Pan wojewoda jutro na zamek jedzie, każe mi z sobą, więc przystojnie należy wystąpić.

— Oby Bóg wam poszczęścił! — szepnął gość i poszedłszy do alkierzyka, ukląkł i długo się modlił.

Janek rozumiał, że się coś ważnego gotuje.

— I ja ci szczęścia życzę, bracie — rzekł.

— Nie mnie, Janku, lecz ziemi naszej całej życz, by Bóg dopomógł do wielkiego dzieła, nad którym panowie nasi pracują. Dziś mówić mi nie wolno, lecz wkrótce usłyszysz nowinę, którą, jak wszyscy, radować się będziesz.

— Wierzę ci, bracie, i pytać nie będę. Jam ciekaw świata i spraw jego, lecz wiem, że są rzeczy, których przedwcześnie mówić nie wolno nawet bratu. Żalu o tę tajemnicę nie mam, a widzę, że coś dobrego przywiozłeś. O, jak się rodzice nasi cieszyć będą, gdy się dowiedzą, żeś ty rękę przyłożył do dobrego, wielkiego dzieła.

— Daj Boże tego doczekać, a radość rodziców podwoi moją.

— I jabym rad na coś się przydać — rzekł Janek — bezczynność zła jest, a ja rwę się do czynów.

— Cierpliwości, młody wojowniku! — zaśmiał się Kazimierz — zdaje mi się, że ci pan wojewoda nie da długo siedzieć doma, i że rychło zdarzy się okazja, w której będziesz mógł poprobać sił swoich.

— Z nikim mi się tak nie chce wojny, jak z Krzyżakami. Ojciec tyle o nich opowiada! Warto się z nimi bić, boć to rycerze nielada, a bardziej wartoby ich zbić zupełnie, bo gorszych wrogów nad nich nie mamy.

— Obrachunek z nimi nie daleki; doczekasz się, czego pragniesz.

Gość, który skończył modlitwę, wszedł właśnie do izby i usłyszał słowa Janka.

— Dobrze, że tak pragniecie zgnieść krzyżactwo, bo póki tych wrogów, póty nie będzie spokoju — rzekł. — Krzyże noszą na szatach, lecz gorsi są stokroć od pogan, którzy błędzą,

bo miłości chrześcijańskiej nie znają. Znam ja dobrze tych niby mnichów, a właściwie całą duszą rabusiów.

— Rozpowiedzcie mi nieco o nich — prosił Janek.

— Chętnie; a co wam powiem, prawdą jest, bom długie lata patrzył na ich sprawy i... wojowałem z nimi także.

Janek już chciał zapytać, kiedy i gdzie, ale przypomniał sobie, iż w ten sposób naraziłby gościa na odstonięcie tajemnicy, którą go brat i wojewoda otaczali.

— Kiedyś — zaczął gość opowiadać — założono zakon krzyżacki, by pielęgnować rannych chrześcijan i walczył z niewiernymi w Ziemi Świętej. Później osiedli na naszej ziemi, by pogańskich Prusów i Litwinów nawracać na wiarę Chrystusową. Zrazu pamiętali o swem przeznaczeniu, lecz trwało to niedługo. Zamiast nawracać pogan, tępili ich, zabierali dobytek, rabowali ziemię, by się rozszerzyć i wzbogacić. Ze skromnego zakonu chrześcijańskiego stali się wojskiem, a wreszcie państwem. Dziś mistrz ich to taki pan, jak cesarz niemiecki; broi, ile mu się podoba, nikogo — nawet papierza — nie słucha; celem Krzyżaków jest wojna tylko, rabunek, łupiestwo. Wszak wojują ciągle z Polską, która dawno jest chrześcijańska; bo nie o wiarę im idzie, lecz o rabunek, o zagarnięcie ziemi, by na niej stworzyć potężne państwo. Dla Polski Krzyżacy są groźnym wrogiem, lecz nie lepszymi są sąsiadami dla Litwinów.

Litwa przez pół już jest chrześcijańska, a pogan, prawdziwych Litwinów, którzy trzymają się swych bogów, możnaby także nawrócić, byle dzieła tego dokonał kto przyjaźnie, nie ogniem i mieczem niszcząc kraj ubogi. Sam książę litewski Jagiełło dawno pragnie ochrzcić się i nieraz już o tem mówił z Krzyżakami, lecz oni niby nakłaniają go do tego, a chytrąścią przeszkadzają mu do dokonania świętego dzieła. Dwa lata temu stanęła już umowa pomiędzy Jagiełłą i wielkim mistrzem krzyżackim, iż książę chrzest przyjmie. Chrzest miał się odbyć uroczyście na wyspie, położonej wśród Niemna. Wybrał się Jagiełło z matką swoją, która jest chrześcijanką, z braćmi i wielkim dworem na ogromnych łodziach. Mistrz z biskupami i rycerstwem płynął naprzeciw. Krzyżacy nibyto dla braku wody ugrzęźli o cztery mile od Dubissy. Nieprawdą to było, bo Niemen w tem miejscu zawsze jest głęboki, a wówczas wody było tyle, że choć statkami płynąć. Wysłali Krzyżacy do Jagiełły z doniesieniem, iż ruszyć dalej nie mogą, że brak im koni, i zapraszali księcia, by do nich przybył. Poznał Jagiełło, że był to wybieg tylko, bo Krzyżacy wcale nie chcieli Litwy ochrzcić, gdyżby jej potem napaść pod pozorem wojowania z pogaństwem nie mogli. Należało się też obawiać zdrady, bo Krzyżacy, stojąc na swojej stronie,

gotowi byli Jagiełłę porwać i uwięzić; więc też, niedoczekawszy się Krzyżaków i chrztu, wrócił książę do Wilna...

Janek słuchał opowieści gościa z wielką uwagą, a gdy ten o chytrą i nikczemności Krzyżaków mówił, zaciskał pięści.

— Możeż to być, by zakon chrześcijański był taki nikczemny? — zawołał.

— Jest takim, jest hańbą dla imienia chrześcijańskiego. Nieraz już papież kłatwą mu groził, lecz Zakon zawsze umiał się chytrze wykręcić i wytłumaczyć, a że ma przyjaciół w cesarzu niemieckim i innych panujących, więc mu dotąd wiele uchodzi bezkarnie. Lecz da Bóg, że kiedyś tej hydrze łeb urwą. Tylko wielka klęska Zakonu zapewni spokój Polsce i Litwie.

— Niechno tylko królowa nasza wyjdzie zamaż, niech stanie przy niej król silny, to pobijemy Krzyżaków — zawołał z zapalem Janek.

— Daj Boże, daj Boże! — powtarzał gość.

Tego dnia długo jeszcze musiał Jankowi opowiadać o Krzyżakach i Litwie, którą znał także, a mówił tak serdecznie, że Janek wreszcie się odezwał:

— Litwini są naszymi wrogami, lecz wolałbym im podać rękę do zgody, niżli Krzyżakom, którzy teraz naszych przyjaciół udają.

— Macie słuszność — rzekł gość — bo i pomiędzy wrogami są rozmaici. Litwini siedzą na swojej ziemi i mają do niej prawo; gdyby się z Polską pobratali, staliby się braćmi prawdziwymi. Krzyżacy na zrabowanym siedzą i, pilnując rabunku, muszą wojować, muszą nas szarpać, — bo wiedzą, że gdy Polska w siłę wzrośnie, odbierze swoje — a wtedy koniec panowaniu krzyżackiemu.

5.

Nazajutrz wyruszył pan wojewoda na zamek. Wśród kilku dworzan był i Kazimierz, strojny jak inni, lecz weselszy, niż oni, choć czasami widać było na twarzy jego poważne zamyslenie.

Panowie dnia tego licznie zgromadzili się na zamku, czekając przybycia królowej w jednej z obszernych sal. Dworzanie oczekiwali swych panów w innych komnatach, zabawiając się rozmową z dworskimi królowej.

Przed przybyciem Jadwigi panowie cicho, lecz żywo, rozprawiali. Było ich wielu, ale wszyscy zgadzali się na jedno.

Uprzedzona, nad czym się ma odbyć narada i rozmowa z panami, weszła Jadwiga do sali błada, smutną, niespokojną. Zasiadła na wspaniałym fotelu, stojącym na podniesieniu, oczekując w milczeniu rozpoczęcia narady.

Otoczyli ją panowie kołem i najstarszy urzędem, kasztelan krakowski Dobieśław z Kurozwęk odezwał się w te słowa:

— Wiecie, miłościwa pani, jaka sprawa nas tu zgromadziła. Pora już postanowić o zameżczeniu waszem dla bezpieczeństwa i dobra kraju naszego. Wyście, miłościwa pani, królową naszą, lecz wam i nam trzeba króla silnej ręki, któryby bronił ziemi naszej i powetował krzywdy, zadane nam przez wrogich sąsiadów. Sprawa to ważna i czas nagli, byśmy ją załatwili.

Pochyleniem głów dali znak zgromadzeni, iż na wypowiedziane słowa zgadzają się zupełnie.

Królowa milczała chwilę, wreszcie cichym głosem odrzekła.

— Wdzięczną wam jestem za tę troskę o los mój; lecz wiecie, iż dzieckiem jeszcze z woli rodziców moich zostałam zaślubioną księciu rakuskiemu Wilhelmowi. Ślub ten później został powtórzony i dziś, gdy pora, by mąż mój Wilhelm stanął przy mnie, jego powołać należy.

Panowie spojrzeli znacząco po sobie. Słowa królowej, wypowiedziane cicho i spokojnie, znamionowały silne postanowienie.

— Wiemy, miłościwa pani,—rzekł na to kasztelan—o postanowieniu waszych rodziców, lecz mylnie nazywacie to zaślubinami, co było tylko zaręczynami. Życzeniem rodziców waszych było, byście, miłościwa pani, poślubili księcia rakuskiego, lecz ślubu żadnego nie było i być nie mogło, gdyście byli dziećciem. Niech o tem księża biskupi powiedzą, iż śluby pomiędzy dziećmi nie istnieją.

— Kościół takich ślubów nie zna i nigdy nie uznaje ich ważności — rzekł biskup poznański.

— Dla mnie ten ślub jest ważny i dziś go jawnie potwierdzić chcę — zawołała królowa. — Wszak sami żądacie mieć króla, więc gdy już męża mam wybranego, ten niech nim będzie!

— Przebaczcie, miłościwa pani, — odezwał się Jan z Tarnowa — że przeciwko słowom waszym wystąpić musimy, lecz tu idzie o dolę ziemi naszej, tak nam drogiej, iż ostatnią kroplę krwi za nią przelać jesteśmy gotowi. Zaręczyn ślubem nazwać nie możemy, bo toby było niezgodne z prawami Kościoła; lecz gdybyście dziś, miłościwa pani, kierując się wolną wolą i dojrzałym umysłem, pragnęli z księciem Wilhelmem formalny zarządzić ślub, musielibyśmy was błagać, byście dla zbawienia królestwa waszego tego nie czynili, — i błagamy, byście po-

ślubili tego, którego my dla dobra narodu dla was wybraliśmy... księcia litewskiego Jagiełłę...

— Nigdy! — zawołała Jadwiga, porywając się z tronu. — Wilhelmowi ślubowałam i jego jednego mieć chcę! Daliście mi koronę, a chcecie, bym niewolnicą waszą była?

— Miłościwa pani! — podniósł głos kasztelan krakowski. — Skrzywdziliście nas temi słowy! Bóg świadkiem, iż niema pomiędzy nami serca, któreby dla was nie biło. Wyście panią naszą, i jeśli czego od was żądamy, to — byście nas kochali. Wspomnijcie na dziada waszego Kazimierza, który całe swe życie poświęcił dla dobra narodu i za to naród nigdy go czcić nie przestanie; wieki miną, a pamięć serdeczna o tym królu nie przeminie w narodzie naszym. Wiemy, iż ciężko jest wyrzec się miłej osoby, i wiemy, że Wilhelm wam miły. Nic przeciwko jego osobie rzec nie chcemy; lecz pomnijcie, miłościwa pani, że zrabowane przez Krzyżaków ziemie straszną są przestrogą. Gdyby Wilhelm miał do nas przybyć ze swą drużyną, z pod kopyt jego koni trysnęłaby chyba krew, niewinnie przelana przez jego przodków i współplemieńców, mogiła Wandy w ziemięby się zapadła, prochy waszego pradziada Łokietka w grobieby się przewróciły!..

Jadwiga twarz dłońmi zakryła.

— Miłościwa pani — mówił dalej kasztelan — zawierzcie nam, cośmy przy królu Kazimierzu stali, iż dlatego usunął od korony potomków Piasta, iż ci albo sami zniemczeli, albo zbyt słabi, by nas obronić mogli, — a ufał, iż król polski i węgierski tego dokona. Dziś, dzięki tej jego myśli, wyście nam panią; lecz widzicie, iż sami wrogom nie podołamy. Podajcie, miłościwa pani, rękę księciu Jagielle, a będziecie zbawicielką naszą, zbawicielką Litwy. Litwa pogańska przejdzie na łono Kościoła Chrystusowego, i to przez was. Czyż już to samo nie wystarcza, byście przyłożyli ręki do tak świętego dzieła? Czyż niczem dla was wzrost potęgi dwóch narodów, wyzwolenie się od grozy wrogich napadów? Ponieście z serca ofiarę, a wynagrodzi ją wam ten dzień jeden, gdy polskie niewiasty, starcy i dzieci, co jęczą dziś w niewoli u Litwinów, powrócą do rodzinnej ziemi i łzami wdzięczności obmyją stopy wasze.

— Błagamy was, miłościwa pani!

Tak wołali zgromadzeni, otaczając zbliżając królowę.

— Dość, dość... — szepnęła Jadwiga.

Smutek, rzewność dziecięca ją ogarnęły... Znała Wilhelma dzieckiem jeszcze miłym i przywykła do myśli, że będzie jej mężem; ale słowa gorące, które teraz usłyszała, nie pozwalały na odpowiedź odmowną. Młoda była, ale czuła, iż ci wszyscy, którzy tu przed nią stali, kochali ją, — lecz kochali więcej swą

ziemię rodzinną, której ona matką być powinna, jak dziad Kazimierz był ojcem. Nie mogła im odmówić... Ale żal jej było myśli, którą tak często cieszyła się, będąc dzieckiem, iż piękny, strojny książę Wilhelm będzie jej mężem. Matka w ostatnich czasach już tej myśli nie podsycała, bo widziała, iż nie jest zgodna z wolą narodu, któremu Jadwiga miała królować.

Wśród tego wahania przypomniała sobie, jakie okropne rzeczy opowiadano o Jagielle. Więc, uspokoivszy się nieco, rzekła:

— Jagiełło straszny jest podobno, dziki i srogi, jak zwierz, i jak zwierz wygląda.

— Nie wierzyć tym baśniom, miłościwa pani — odezwał się Spytek. — Słyszałem i ja o nich, lecz, chcąc je sprawdzić, posłałem zaufanego dworzanina, który mi przedtem służył na waszym dworze w Budzie; on był w Wilnie, Jagiełłę widział, zapytajcie jego samego.

— Kaźcie mu przyjść!

Spytek sam wybiegł i rychło powrócił z Kazimierzem. Ten zbladł na widok królowej, lecz gdy mu dała znak ręką, zbliżył się śmiało.

Przypomniała sobie Jadwiga, iż widywała go ze Spytkiem lub też samego w Budzie; przypomniała sobie, jak go chwaliła Elża Emerykówna jako gładkiego a roztropnego młodziana. Spojrzała mu w oczy i ujrzała w nich taką szczerość, iż była pewna, że to, co powie, prawdą będzie.

— Byliście na Litwie; — rzekła — opowiedzcie, coście widzieli.

— Pan wojewoda wysłał mię, — zaczął Kazimierz głosem dźwięcznym, trochę drżącym — bym się starał poznać księcia litewskiego, dwór jego i ziemię. Księża franciszkanie, którzy wśród pogańskiego Wilna mają klasztor, dopomagali mi. Poznałem się z człkiem zacnym i statecznym, który, acz chrześcijanin, stoi przy boku księcia i jest jego prawą ręką — z wielkorządcą Wilna Hanką. Przez niego dowiedziałem się wiele. Jagiełło jest człowiekiem dobrym, cichym, łagodnym. Sam prawy, srogim jest tylko dla złych, lecz i winowajcom częściej przebacza, niżli ich karze. Z jego czarnych oczu i wysokiego czoła patrzy taka zacność, iż dziw doprawdy, że dotąd jest poganinem. Matkę ma chrześcijankę, która w zamku ma swą kaplicę; książę szanuje ją i kocha, od niej też chyba nauczył się dobroci i pobożania. Choć poganin, chrześcijan nie prześladowa, o istnieniu klasztoru wie i pozwala Hance opiekować się nim, sam udając, że nie wie o niczem. Skarby ma wielkie, a sam skromny jest, iż trudno go na łowach rozpoznać wśród dworzan. Szara suknia jest mu najmiłszą, błyskotek nie

lubi, wina ni miodu nie pija nigdy. Zawisłi w nim niemasz ani odrobiny. To, co mówiono o zabiciu stryja, nieprawdą jest; sam Witold to zeznał. Patrzyłem pilnie przez dni kilka na księcia i zda mi się, widzę jeszcze to łagodne wejrzenie, tę postać niewielką, ale kształtną, tę szczerość i dobroć, która mu ludzi jedna i szczęście przynosi.

— Chwalicie go gorąco — rzekła królowa.

— Miłościwa pani! — zawołał żywiej Kazimierz — ojciec mój służył królowi Kazimierzowi, a mnie święcie przykazał, bym wam duszą całą był oddany, więc mówię szczerą prawdę. Wiem, że zli ludzie fałsze rozsiewają, by przeszkodzić pojednaniu dwóch dotąd wrogich sąsiadów, którzy, za łaską Bożą i wolą naszej miłościwej pani, braćmi się stać mogą.

Podobała się ta mowa królowej.

— Wierzę wam i dziękuję. Bądźcie zawsze wierni ziemi rodzinnej i mnie!

Kazimierz słowa z radości wymówić nie mógł. Skłonił się nisko swej pani i usunął wgląd.

— Pozwólcie, miłościwa pani, — odezwał się Dobiesław — by Jagiełło swych posłów przysłał. Zapewnienie z ich ust przekonana was, jakim dobrodziejstwem dla obydwóch narodów będzie to pojednanie.

Jadwiga skłoniła głową na znak przyzwolenia i chwiejnym krokiem wyszła z sali.

Panowie rady krótko już tylko zostali na zamku. Postanowili bez sporu wysłać natychmiast wiadomość na Litwę, iż królowa posłów Jagielle przyjęła.

Ledwo powróciwszy do domu, Kazimierz pobiegł do swej komnaty, rzucił się na szyć gościowi i zawołał z radością:

— Bogu dzięki! Królowa zgadza się przyjąć posłów waszych!

— Niech jej Bóg nagrodi to, co uczyni dla dwóch narodów...

— Jeszcze sprawa niezupełnie skończona, lecz największy opór zwyciężony. Baśnie opowiadano naszej pani o księciu Jagielle, jakoby do zwierza raczej był podobny, aniżeli do człowieka. I jam musiał rzec słowo, jakom go na własne oczy widział i poznał w nim pana wielkiego serca i szlachetności rzadkiej.

— Nasz pan nagrodi wam tę przysługę...

— Nie dla nagrody to uczyniłem, ale dla prawdy i miłości ziemi naszej — zawołał Kazimierz.

Gość uściśnął mu dłoń.

— Teraz, Janku, — rzekł Kazimierz — mogę ci powiedzieć, kim jest gość nasz: Hanką go zwa, a jest wielkorządcą Wilna i zaufanym księcia litewskiego Jagielle, który posyła posłów do Krakowa, by prosić o rękę pani naszej.

Janek serdecznie uściskał Hankę.

— Teraz rozumiem wasze słowa wczorajsze i szczerze się raduję z tej myśli. Daj Boże rychło się doczekać wesela, a potem na koń i na Krzyżaków.

— Wam ta jedna myśl ciągle pokoju nie daje — rzekł Hanka z uśmiechem. — Życzę, byście doczekali dnia wielkiego zwycięstwa...

— Pora wam w drogę — odezwał się Kazimierz. — Zaraz wojewoda do siebie poprosi, by wam postanowienie królowej i rady obwieścić. Ja wam towarzyszyć pewno będę dla bezpieczeństwa. Wracajcie rychło, bo pewno was książę z dziewczętami do Krakowa pošle.

— Zobaczmy się niebawem, daj Boże ku radości!

Tego dnia jeszcze wieczorem Hanka wracał do Wilna, by co rychlej panu swemu donieść o rezultacie swej wyprawy i by po raz drugi, teraz już jawnie, z książęciem poselstwem wyrzucić się do Krakowa.

Towarzyszył mu Kazimierz i Janek, którego brat wyprosił sobie u wojewody na tę wyprawę. Była to pierwsza podróż Janka, pierwsza próba jego roztropności i odwagi, bo w owe czasy puszcząć się samotrzeć niezawsze było bezpiecznie, tembardziej że wyprawa okryta była tajemnicą. Odrowążowie mieli odprowadzić Hankę tylko do granicy litewskiej, gdzie tenże zostawił swoich ludzi i konie dla bezpieczeństwa i szybkiej podróży.

Janek rozglądał się ciekawie po nieznanym mu okolicach; wszystko go zajmowało, o wszystko wypytywał i rad był niezmiernie, że go wzięto na tę wyprawę. Dziękował też ciągle bratu, wiedząc, że jemu to tylko zawdzięczał.

— Uczcie się wędrować po kraju — rzekł Hanka — bo, gdy Bóg da Jagielle zyskać koronę polską, często wypadnie dążyć w tę stronę i droga z Krakowa do Wilna będzie lepiej ubita, aniżeli najlepszy gościniec.

— Uproście mi u pana swego — prosił Janek — by mnie wziął na pierwszą wyprawę wojenną; wstydu mu nie uczynię.

— Pewni tego bądźcie, że o was nigdy nie zapomnę i Jagielło dowie się o was — odrzekł Hanka.

Podróż odbywano z pośpiechem, bo Jagielło był niecierpliwym wieści z Krakowa. Dostawiwszy cało Hankę do granicy litewskiej, Odrowążowie bez zwłoki popędzili do domu, żegnając towarzysza serdecznem „do widzenia“.

Niedługo znaleźli wypoczynek, bo pan wojewoda był czynny bardzo, często wysyłał swych zaufanych to w tę, to w ową stronę. Nie upłynęły dwa tygodnie, a już w nową gotowano się podróż. Kazimierz wraz z Jankiem i garścią tęgich dworzaków wyruszyli się znowu w stronę Litwy. Trzeba było ludzi

pozostawiać po drodze, tak by od samej granicy można było mieć rychło wiadomość o nadciąganiu poselstwa książęcego i by orszakowi wskazywać najlepszą drogę i miejsca na noclegi. Janek został z jednym towarzyszem w pół drogi, Kazimierz ruszył dalej, rozstawiając konie do powrotu.

Zima była ostra, mroźna, lecz pogodna, bez zawieruch, wśród których w tych stronach nietrudno było się zbłąkać. Podróż w taką porę nie była zbyt łatwą, lecz pomagało naszym ochotnikom imię pana wojewody, który wszędzie miał powinowatych i życzliwych sobie, tak że obu Odrowążów przyjmowano wszędzie serdecznie i gościnnie.

Każdy też rad był wieści, przynoszonej przez nich, a że obaj opowiadali pięknie i żywo, więc też i jednali gorących zwolenników dla myśli połączenia Jadwigi z Jagiełłą.

W połowie stycznia 1385 roku stanęło poselstwo Jagiełły w Krakowie.

Wjazd był wspaniały. Na czele jechał brat Jagiełły Skirgiełło, brat stryjeczny Borys i stryj Olgimunt, dalej Hanka i liczni bojarowie wraz z dworzanami — wszyscy świątecznie wystrojeni, poważni, niektórzy surowi, lecz bynajmniej nie straszni.

Panowie krakowscy przyjęli posłów nader serdecznie i ugaszczali po królewsku. Nazajutrz miało nastąpić przyjęcie na zamku.

Zebrali się licznie przedniejsi panowie polscy, stojąc obok królowej, siedzącej na tronie. Wśród odgłosów muzyki wprowadzono posłów, którzy czolobitnie powitali Jadwigę i złożyli dary Jagiełły, niezmiernie bogate. Tyle złota i drogich kamieni, aksamitów i niewidzianych wschodnich, złotem tkanych materyj złożono u stóp królowej, iż ta, choć wychowana na bogatym dworze węgierskim i niemało skarbów miała na zamku, nie mogła ukryć podziwienia. Bo też rzeczy ofiarowane jej odmienne były od tych, jakie dotąd widywała, i aż raziły blaskiem złota i kamieni szlachetnych.

Książę Skirgiełło, stojąc na czele poselstwa, przemówił:

— Jużto wielu cesarzów, królów i książąt chrześcijańskich pragnęło zawrzeć sojusz dożgonnego pokrewieństwa z wielkim księciem Litwy Jagiełłą Olgierdowiczem. Wszakże dopiero osobie waszego królewskiego majestatu zachował Bóg wszechmogący osiągnięcie tego zamiaru. Przeto, ze względu na tak zbawienne zrzęczenie tajnych wyroków Bożych, racz wasza królewska miłość przyjąć pomienionego wielkiego księcia i pana Litwy na małżonka swojego. Co gdy pożądanym uwieńczone zostanie skutkiem, urośnie stąd obficie chwała Boża, korzyść duszna.

część ludzka i potęgą królestwa. Wielki książę Jagiełło wraz ze wszystkimi braćmi swoimi jeszcze dotąd nieochrzczonymi, tudzież ze wszystkimi ziemianami swych krajów, od najwyższego do najmniejszego, chce, pragnie i życzy sobie przyjąć wiarę katolicką. Nad którem to dziełem, jak powiedziano, pracowało wielu cesarzów i książąt przeróżnych, lecz nie mogło po dziś dzień zdążyć do celu. Aż dopiero waszej królewskiej miłości zachował Bóg wszechmogący tę sławę. Zaczem, w tę większą jawność i pewność swoich oświadczyń, przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło użyć wszystkich swoich skarbów ku odzyskaniu uszczerbków państw obojga, tak Polski, jako i Litwy, jeśli wasza królewska miłość oddasz mu swoją rękę. Przyrzeka też i obowiązuje się wielki książę Jagiełło odzyskać własnym kosztem i trudem wszelkie straty i uszczerbki korony polskiej, przez kogokolwiek oderwane i zagarnięte. Dalej przyrzeka wielki książę uwolnić wszystkich chrześcijan, ludzi płci obojg, uprowadzonych obyczajem wojennym z ziemi polskiej, tak iżby każdy i każda z nich mógł i mogła dokądkolwiek powrócić z Litwy. Nakoniec przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło przyłączyć swoje ziemie na wieczne czasy do korony państwa polskiego.

Z pewnym niepokojem oczekiwano odpowiedzi królowej, która zamyślona słuchała posłów litewskich. Wreszcie odezwała się cichym głosem:

— Podziękujcie panu waszemu, wielkiemu księciu Jagielle, za jego poselstwo, tyle dla mnie zaszczytne, na które wszelako nie mogę odpowiedzieć przyrzeczeniem mej ręki, bo w dzieciństwie mem jeszcze oddali ją rodzice moi rakuskiemu księciu Wilhelmowi. Taka była wola mych rodziców. Udajcie się do matki mojej, niech ona w tej sprawie swą wolę wyrzeczy...

Zdziwili się panowie nasi tej odpowiedzi, lecz nic nie mogli przeciwko niej uczynić. Posłowie litewscy lepszej byli myśli i zgodzili się zaraz wyruszyć na Węgry.

Jadwiga posłów daraim bogatemi obdarzyła, lecz spodziewała się, iż matka jej na małżeństwo z Jagiełłą zezwolenia nie da, a dołoży starań, by Wilhelm co rychlej dostał jej rękę i Polskę.

Zebrałi się panowie na radę i postanowili dodać posłom litewskim ze swej strony Włodka z Ogródzieńca, Mikołaja z Ossolina i Krystyna z Ostrowa. Mieli oni polecenie nakłonić królowę Elżbietę, by oddała rękę Jagielle i sama uznała, iż pomiędzy Jadwigą a Wilhelmem ważnych ślubów nie było.

Spytek listy do swych przyjaciół na dworze węgierskim wygotował i wraz z poselstwem wyprawił Kazimierza.

Chociaż spodziewano się w końcu zwycięstwa, bo posta-

nowiono za nic w świecie nie oddać Jadwigi Wilhelmowi, jednak z wielkim niepokojem patrzono za odjeżdżającymi na Węgry posłami.

6.

Długo czekano na powrót posłów polskich i litewskich z Węgier. Posłańcy panów krakowskich często pędzili na Węgry i wracali z wieściami.

Najgorętszym był wojewoda Spytek, który niecierpliwił się bardzo. Koni i ludzi nie żałował, byle mieć częstsze wieści o tem, co się dzieje na Węgrzech, jak tam posłów przyjęto, czy i co już urządzono.

Kazimierz musiał w Budzie pilnować sprawy. Przez życzliwego wojewodę Emeryka dowiadywał się o naradach u królowej węgierskiej i natychmiast stał listy do Krakowa. Janek, jako świadomy okolicy, stał w dziesięć tęgich koni w Sączu i każdą wieść brata pchał, co koń wyskoczy, do wojewody.

Zabiegał czasami do rodziców, którzy radowali się szczerze, widząc syna zaszczyconego zaufaniem Spytka. Ojciec ciągle przypominał mu o obowiązkach względem kraju, uczył przeczorności i fortelów na wypadek zasadzki i walki. Matka znów troszczyła się o wygodę syna i zaopatrywała go w jedło i odzież.

Wśród ciągłych trudów podróży Janek widocznie męźniał i codzień dzielniej wyglądał. Dzień i noc konie trzymał w pogotowiu, by listy z Węgier nadchodzące bez zwłoki wyprawić dalej, do Krakowa. Nie myślał nigdy o nagrodzie, która mogła go za to czekać: rozumiał, iż sprawa jest wielkiej wagi, że każda chwila jest droga — i to mu nawet spać nie dawało. Zaufanie wojewody, który jemu powierzył dziesięciu ludzi i tak ważną pocztę, czyniło go dumnym, lecz było zarazem najsilniejszym bodźcem do największej gorliwości.

Wiosna już była, gdy zamiast zwykłego posłańca z listem przyjechał Kazimierz. Koń pod nim był zmęczony, a i sam jeździec potrzebował spoczynku.

Janek z radością go powitał.

— Dobre wieziesz wieści?

— Dobre i pilne — odrzekł Kazimierz. — Daj mi się czem posilić i każ konia świeżego przygotować; zaraz jadę dalej.

— Spocznij choć trochę! — prosił Janek — zdrożony jesteś bardzo.

— Wypocznię w Krakowie, teraz czasu niema. Wszystko

zdane na panów naszych i Jadwigę: co oni postanowią, królowa matka zatwierdzi. Więc pilno o tem donieść, by królowa im nie odmówiła; wiele, wiele moglibyśmy na tem stracić.

— Ale królowa zgadza się na Jagiełłę?

— Chwieje się jeszcze, a Wilhelm ma przyjaciół, którzy go radzi przemycić do Polski. Trzeba przeciwko temu działać.

Nie upłynęła godzina, a Kazimierz był znowu na koniu. Zabrał z sobą jednego luzaka i konia na przemianę i pognął w stronę Krakowa.

Przybywszy do celu, nie przebijając się z drogi, pośpieszył do wojewody, by zdać sprawę z tego, co wiedział.

Rad mu był Spytek niesłuchanie, a dowiedziawszy się, w jak krótkim czasie Kazimierz odbył drogę z Budy do Krakowa, aż się za głowę schwycił z podziwu.

— A toż waść ptakiem chyba leciałeś, nie konno! — zawołał.

— Konno, a choć mi konie trochę pochudły, żywe wszystkie.

Opowiedział Kazimierz, że posłowie litewscy i polscy, wraz z posłami królowej węgierskiej, za dni kilka wyruszą do Krakowa z odpowiedzią królowej matki, iż ta rozstrzygnięcie całej sprawy zdaje na Jadwigę i panów polskich, którzy najlepiej będą wiedzieli, czego dobro kraju wymaga. Takie było poselstwo jawne. Ale było jeszcze i drugie, bodaj czy nie ważniejsze: bo oto matka Jadwigi zleciła posłom węgierskim, którzy wyprawili, by w jej imieniu starali się nakłonić Jadwigę do poślubienia Jagiełły. Węgrzy i ich królowa nie życzyli sobie ujrzeć na tronie krakowskim Niemca. Biskup Szczepan miał poufnie wpłynąć na Jadwigę na korzyść Jagiełły. Nadto wojewoda Emeryk dał Kazimierzowi list do córki swojej Elży, która była przy boku Jadwigi, zalecając, aby gorliwie popierała sprawę.

Spytek uściskał Kazimierza.

— Bóg wam zapłać za pośpiech! Będziemy trudu mieć niemało, by królowę skłonić do zgody na małżeństwo z Jagiełłą. Ciągłe jeszcze się waha, a przyjaciele Wilhelma już się po Krakowie kręcą i starają się wpłynąć na królowę, bo Wilhelm wkrótce przybędzie. Musimy, zanim poselstwo powróci, dużo uczynić. Dajcie mi list do Elży, sam go jej oddam; wy wypocznijcie, a potem pójdziecie na zamek, by jej ustnie oddać pozdrowienie od ojca.

Spytek cały dzień był w ruchu. Pod wieczór zebrał się panowie krakowscy do niego na naradę. Powołano Kazimierza, by opowiedział o postanowieniu królowej węgierskiej. Radzono, co dalej począć. Spodziewano się jeszcze oporu Jadwigi i chciało jej okazać, że nie garść dostojników tylko pragnie jej mał-

żeństwa z Jagiełłą, lecz naród cały. Dziś więc postanowiono już, iż należy zwołać sejm, któryby wolę narodu wypowiedział. Chociaż zwołanie sejmu mogło jawnie dopiero wtedy nastąpić, gdy posłowie z Węgier powrócą, należało jednak już teraz przygotowywać się, by zjazd był liczny i by mająca przybyć szlachta poparła zgodnie myśl panów krakowskich. Każdy więc miał wysłać swoich zaufanych do krewnych, powinowatych i przyjaciół, by ich zawnazą do sejmu przygotować.

Nazajutrz wybrał się Kazimierz do Elży Emerykówny, by jej pozdrowienie ojca oddać i opowiedzieć o nim.

Powitała go z radością dziecka, które pragnie słyszeć o rodzicach, co robią, czy zdrowi, jak żyją, czy ją wspominają. Zapytania posypały się jak z rękawa. Kazimierz opowiadał szczegółowo i wiele, bo widywał codziennie wojewodę.

— Zlecił mi pan wojewoda a ojciec wasz, — rzekł wreszcie Kazimierz — bym was prosił o poparcie Jagiełły. Panowie węgierscy bardzo radzi myśli połączenia Jadwigi z księciem litewskim i królowa matka radzi to uczynić. Wy macie wpływ niemały na królowę, rzeczenie słówko, przysłużycie się dobrej sprawie. Pomyślcie, jaka to korzyść dla świata chrześcijańskiego z nawrócenia tyłu pogan. Los kraju naszego także wam obcym być nie może, boście bliscy królowej naszej i wiem, że macie być żoną wojewody Spytką. Nie dajcie drogi złym podszeptom niemieckich zauszników.

— Bądźcie spokojni, już ja nieraz z królową o tej sprawie mówiłam; lecz pani nasza młoda jest i marzy o Wilhelmie jak o królewiczu z baśni. Ja słów nie poskapię, lecz i wy coś działać możecie. Królowa wie, iż byliście w Budzie, pragnie was widzieć.

— Możesz to być? — zawołał zdziwiony Kazimierz.

— Zaraz doniosę, iż tu jesteście; żądała tego.

Po chwili wróciła Elża.

— Pójdźcie, królowa pragnie mówić z wami.

Nie spodziewał się tego Kazimierz, idąc na zamek, i nie wystroił się tak, jakby to uczynił, wiedząc, iż ma stanąć przed królową.

Rycerskim obyczajem przykląkł na jedno kolano przed Jadwigą, która powitała go tym łagodnym, dobrotliwym uśmiechem i skinieniem ręki, co jej jednały serca wszystkich zbliżających się do niej.

— Byliście w Budzie, widzieliście matkę moją? Mówcie, zdrowa li? — zapytała królowa.

— Miłościwa królowa Elżbieta zdrowa jest i rzeźwa, lecz trosk ma niemało. Zygmunt Luksemburczyk wiele zgryzot matce

waszej miłości sprawił i dziś spokoju nie daje, chociaż królowa Marja komu innemu ma być oddaną w zamęście.

— Możeż to być, by matka moja zerwała te śluby? — zapytała Jadwiga żywo.

— Tak jest, miłościwa pani. Wiem to najpewniej, iż królowa Elżbieta nie uznaje zaręczyn dziecięcych, jak nie uznaje w nich Kościół ślubu żadnego. Królowa Elżbieta pragnie dla siostry waszej miłości małżeństwa, któreby przyniosło szczęście narodowi — a tego Zygmunt Węgrom przynieść nie może.

— Więc i mego ślubu matka nie uznaje?

— Posłowie litewscy i węgierscy już są w drodze, z ust ich dowiedzie się, miłościwa pani, o postanowieniu królowej Elżbiety — odparł Kazimierz z wahaniem.

— Wszak wiecie, mówcie, co mi posłowie przyniosą — zawołała żywo Jadwiga.

— Królowa Elżbieta, matka waszej miłości, nie uznaje zaręczyn zawartych pomiędzy dziećmi; lecz, mieniąc waszą miłość zupełnie swobodną, oddaje rozstrzygnięcie sprawy małżeństwa z księciem Jagiełłą wam, miłościwa pani, i narodowi naszemu, o którego los idzie.

Jadwiga zamyśliła się smutnie.

— Wiecież wy to napewno?

— Wiem najpewniej i nie śmiem kłamać; z tą wiadomością śpieszyłem do Krakowa.

Królowa widocznie nie spodziewała się takiej wieści. Sądziła, że matka wesprze ją, zachęci do oporu przeciwko małżeństwu z Jagiełłą, na które dotąd zgodzić się nie chciała. Czuliła, że jej ubywa może ostatnia podpora, że wysłanie posłów Jagiełły do Węgier nie wyszło na korzyść jej zamiarowi obstawania przy Wilhelmie. Żal ścisnął jej serce i, nie mogąc pohamować się, zawołała:

— Więc mam być zaprzędaną w niewolę temu poganinowi!

— Miłościwa pani! — odezwał się nieśmiało Kazimierz. — Nie śmiem wtrącać się w sprawy tak ważne, nad którymi radzą ojcowie narodu, lecz jestem także synem tej ziemi, za którą gotów jestem oddać życie, a miłość dla kraju łączę z miłością i czcią dla królowej naszej, — więc słowa waszej miłości zabołały mię. Wszak panowie nasi nie niewolą waszej miłości, lecz szczęścia narodu pragną, zbawienia dusz tyłu, pokoju, potęgi: a czyż szczęście narodu, któremu królujecie, może być niewolą miłości waszej? Jam młody i ofiar jeszcze nie ponosiłem, ale mam ojca, którego czczę i kocham. On mnie uczył, on w świat wysłał. Pięćdziesiąt lat już mu minęło, a wysłał mnie i syna drugiego, sam pozostał na roli, która go żywi, mówiąc,

że nie jemu, ale krajowi i królowej służyć powinniśmy, że nie masz ofiar, którychby nie należało ponieść dla dobra ziemi rodzinnej, bo kraj pierwszy, a myśmy ostatni. Szczęście nasze osobiste kazał nam zawsze poświęcić, gdyby ono nie było zgodne z dobrem tej ziemi, która nas żywi, której dziećmi jesteśmy. Mało jeszcze wiem, lecz tak mi się zdaje, że matka narodu, królowa nasza, nie znalazłaby szczęścia w domu, gdyby go w ojczyźnie nie było, — a będzie szczęśliwą, wielką, błogosławioną, gdy dzieciom jej zaświta jutrzeńka pokoju i potęgi, gdy krzyż Chrystusowy, jej dłońią dźwignięty, oświeci ciemnych pogan, dziś złych i łupieżców, lecz nieświadomych, więc i nie tak winnych.

— Widzę, że słowa z serca wam płyną — rzekła królowa, powstając. — Gdy wszyscy tak czuć będą, gdy wszyscy dla dobra tej ziemi jednego będą pragnęli, trudno mi się będzie oprzeć woli narodu. Dziękuję wam za wieści o matce mojej.

Podeszła do stolika, na którym stała kosztowna, zdobna szkatułka, wyjęła z niej pierścień drogi i, dając go Kazimierzowi, rzekła:

— Przyjmijcie to na pamiątkę, iż nawet królowej mieliście odwagę powiedzieć prawdę, nie ukrywając własnego zdania za pochlebstwem. Zacznych macie rodziców, kiedy tak was wychowali. Czujcie ich i szanujcie ich rady...

Kazimierz wyszedł z zamku tak oszołomiony swem szczęściem, iż zrazu nie wiedział, którędy iść do domu. Łaskawość królowej, dar jej, wszystko to mięszało mu się w głowie. Długo uspokoić się nie mógł, noc całą nie spał, co chwila patrząc na pierścień. Nad ranem napisał list do rodziców, donosząc o wszystkim.

Panowie krakowscy byli nadzwyczaj czynni, a gdy posłowie z Węgier przybyli, nie ulegało wątpliwości, iż kraj cały stanie po stronie Jagiełły.

Jadwiga i teraz jeszcze nie dała posłom stanowczej odpowiedzi, odwołując się do postanowienia sejmu, który miano zwołać. Posłowie litewscy byli pewni wygranej na sejmie. Jakoż rzeczywiście zjazd zebrany w Krakowie postanowił przyjmując poselstwo Jagiełły i prosić królowę, by mu oddała swą rękę, gdy naród tak chętnie oddawał mu koronę.

Nie mogła dłużej opierać się Jadwiga. Widząc takie gorące życzenie narodu połączenia się z Litwą, dała przychylną odpowiedź posłom Jagiełły i zgodziła się na wyprawienie poselstwa do niego, by go zaprosić na chrzest, ślub i koronację do Krakowa.

Gorąco dziękowali panowie królowej za jej zgodę, radość ich udzieliła się całemu miastu, zaczęto myśleć o przyjęciu no-

wego króla, o którym najsprzeczniejsze ciągle krążyły wiadomości. Przyjaciele Wilhelma, nieliczni wprawdzie, zachwalali go bardzo, wymyślając niestworzone rzeczy na Jagiełłę.

Wyruszyli litewscy i polscy posłowie na Litwę do Jagiełły i stanęli w początkach sierpnia w mieście Krewie.

Rad był posłom Jagiełło, powtórzył uroczyste przyrzeczenia przez ich usta wyrażone w Krakowie i w Budzie, kazał spisać akt i pieczęć na nim swoją przyłożył. Przyrzekł też rychło przybyć do Krakowa, by dopełnić obietnic i stać się chrześcijaninem i królem naszym.

Włodko z Ogródzieńca, Mikołaj z Ossolina i Krystyn z Ostrowa, którzy w imieniu Polski na Litwę jeździli, powrócili do Krakowa, donosząc, jak mile przyjął ich Jagiełło, i zapowiadając jego przyjazd do Krakowa, gdy tuż wślad za nimi przybieżała wieść, iż Krzyżacy wielką siłą wpadli na Litwę i okropnie ją pustoszą.

Smutkiem przejęła panów naszych ta wiadomość. Tembardziej pragnęli przyspieszyć ślub Jadwigi z Jagiełłą, by zaraz pójść Litwie z pomocą. Niektórzy myśleli już nad tem, by zebrać ochotników i iść na odsiecz, bo przez to niezbitnie przekonaliby Jagiełłę o swej dla niego życzliwości, — gdy nowy kłopot spadł na panów krakowskich, mało przewidywany, a mogący poważnie mieć następstwa.

Oto w początkach jesieni dano znać w Krakowie, iż ksiązę rakuski Wilhelm z licznym orszakiem ciągnie pod Wawel, by poślubić Jadwigę.

* * *

Przyjaciół miał Wilhelm w Krakowie niewielu, przeciwnych sobie niemal wszystkich, a z pewnością wszystkich ludzi uczciwych i poważnych. Przybycie jego jednak zaniepokoiło panów krakowskich. Obawiali się, iż królowa może zmienić postanowienie i zechce istotnie poślubić księcia.

Miano się na baczności, wysłano gońców, którzyby dokładnie donieśli o dniu i godzinie przybycia Wilhelma.

Nadciągnął wreszcie wśród strojnego orszaku, sam najstrojniejszy, w zbroi, złocie i pawich piórach, które nad hełmem tworzyły wielki wachlarz. Orszak, cały w jednej barwie, okryty jedwabiami i aksamitami, kapał od złota i błyskotek.

Sam Wilhelm jechał dumny na czele i dziwił się bardzo, iż miasto nie przystroiło się świątecznie, że lud gromadził się, Patrząc na wjeżdżających z podziwem, lecz zarazem ze śmie-

chem. Bo też widok tych strojnisiów wytrefionych i wylizanych był zapewde śmieszny wśród poważnych murów Krakowa, który nawykł do widoku rycerzy strojnych, lecz poważnych, raczej surowych, niż wypieszczonych.

Nikt radosnym okrzykiem nie powitał wjeżdżającego, a na młodej jego twarzy malowała się pogarda dla tłumu. Wilhelm przywykł w ojczyźnie do pokory i uniżoności własnych poddanych, których można było gnębić i deptać — więc i w Krakowie myślał tak czynić... Ale ten lud śmiał mu się w żywe oczy, bo nie chciał go mieć swym panem.

Jechał Wilhelm wprost na zamek królewski, lecz tu u bram spotkał go kasztelan krakowski Dobiesław z Kurozwek, prosząc grzecznie, by sobie w mieście szukał gospody, gdyż na zamku wolno mieszkać tylko królowi.

Markotno się zrobiło młodemu księciu, lecz nie było innej rady. Wrócił więc do miasta i stanął gospodą u Gniewosza z Dalewic, swego jedyne go stronnika, który, zdradzając kraj, spodziewał się obfitych łask i darów od Wilhelma. On to księcia sprowadził, obiecując swe poparcie, chociaż nie miał żadnego znaczenia; obecnie nie mógł się nawet spodziewać, by mu który z panów krakowskich podał rękę.

W parę dni później był Wilhelm na zamku, lecz królowa nie mogła go przyjąć inaczej, jak tylko w obecności całego swego dworu, tak iż ksiązę nie mógł ni słowa rzec o małżeństwie.

Przyjęcie to tak dalece było niemiłe Wilhelmowi, iż nie chciał iść na zamek jawnie; postanowił jednak porozumieć się z królową skrycie i, gdyby nie można było inaczej, potajemnie wkraść się na zamek. Ufał, że gdy tam już zamieszka, panowie nie będą śmieli go wypędzić, tembardziej, że i królowaby go broniła.

Gniewosz i kilku ze służby dworskiej pomagali Wilhelmowi; królowa Jadwiga, lękając się jeszcze ciągle „strasznego Jagiełły“, zgodziła się na myśl potajemnego wprowadzenia księcia na zamek i odbycia zaślubin tak, by nikt z panów krakowskich o tem nie wiedział.

Ludzie przekupieni byli sprytni, więc udało się im dokończyć tego zamiaru. Przez ukrytą furtę wpuszczono Wilhelma i jego dworzan na zamek tak cicho, iż nikt tego nie spostrzegł, ani straż stojąca u bram głównych, ani służba dworska, uwijająca się licznie po korytarzach i komnatach. Jednych przekupiono, drugich usunięto, trzecich zagadano, by nic nie spostrzegli.

Dotarł już Wilhelm do komnat królowej, gdzie się miał odbyć ślub wobec jego dworzan, Gniewosza i jemu podobnych zdrajców, wstydzących się czynu jawnego, a działających pod-

stępem. Twarz Wilhelma promieniała radością, gdy się zbliżał do Jadwigi; spojrział dokoła dumnie, jakby rzecz chciał: jam tu pan!

Wtem wpada do komnaty jeden z dworzan, stojących na czatach, wołając:

— Kasztelan z panami idzie!

Jadwiga zmieszala się na chwilę, lecz zaraz rzekła spokojnie:

— Niech wchodzą, nie potrzebuję ukrywać czynów moich przed nikim.

Wilhelm, usłyszawszy o nadchodzącym kasztelanie, który go w dniu przybycia tak grzecznie odprawił od bram zamkowych, zbladł strasznie, zaczął się trząść ze strachu wcale nie po rycersku i rozglądać się, kędyby uciec.

Już słyhać było zbliżające się kroki i głosy. Strach coraz większy opanowywał Wilhelma, aż wreszcie szepnął z trwożą do Gniewosza.

— Wskaż drogę, którądyby wyjść można, byle nie wpaść w ich ręce.

Nie pomogły słowa Gniewosza: Wilhelm umknął do dalszych komnat, a że na schody wyjść było niebezpiecznie, bo panowie pewno je obstawili strażą, więc musiał wybrać jedyną drogę, jaka pozostawała: w koszu spuszczone go na sznurze za mur zamkowy, i stąd cichaczem umknął do miasta.

Znalazł się Gniewosz koło księcia przełknięty, bo słyszał pogrózki panów; a bojąc się ukrywać u siebie Wilhelma, wybrał dlań schronienie w domu jednego z bogatych Żydów krakowskich.

Na zamku straż podwojono. Czuwano w dzień i w nocy, bo wiadano, iż źli ludzie nie przestają namawiać młodziuchnej królowy do kroku, który byłby zgubą dla niej i dla narodu. Młoda, niedoświadczona, nie mająca przy sobie matki, któraby mogła powstrzymać ją od nierozważnego czynu, ulegała namowom fałszywych przyjaciół, chciwych łask i pieniędzy, wiedzących, że wśród nieporozumień i zaburzeń najłatwiej napełnić kieszenie.

Panowie krakowscy spodziewali się, iż odkrycie bytności Wilhelma na zamku powstrzyma królowę od dalszego porozumiewania się z nim i dla niego też będzie dobrą nauką. Nadto oczekiwano rychłego już przybycia Jagiełły, który położyłby kres wszelkim tajemnym zabiegom Wilhelma i jego doradcy Gniewosza.

Wilhelm potrosze z nauki skorzystał, bo już za nic nie dał się namówić na nową próbę dostania się na zamek. Nato-

miast żądał, by królowa wykradła się potajemnie na miasto i tu z nim ślub wzięła.

Uległa Jadwiga tym niegodziwym namowom, tembardziej iż znowu zaczęto rozpowiadać straszne baśnie o dzikości Jagiełły. Naprawdę lękała się popaść w ręce tego zwierza i postanowiła uciec z zamku, by powrócić doń jawnie z Wilhelmem jako swoim małżonkiem.

Z kilkoma zaufanemi sługami wybrała się o zmroku ku ustronnie położonej furcie, którą Gniewosz miał zawczasu otworzyć. Jakże się zdziwiła, zastawszy furtę zamkniętą, a przy niej straż zbrojną, która na wyraźny rozkaz kasztelana przejścia otworzyć nie chciała.

Rozgniewana Jadwiga wyrwała jednemu z żołnierzy topór, by nim furtę rozrąbać, gdy wtem stanął przed nią Dymitr z Goraja, białowłosy starzec, który długie lata spędził na dworze jej ojca.

Zasłonił sobą furtę, pierś nadstawił pod topór.

— Puśćcie mię! — zawołała Jadwiga.

— Uderzcie, miłościwa pani, toporem w pierś tę, która nieraz zasłaniała kraj przed niebezpieczeństwem i raz jeszcze gotowa znieść cios choćby śmiertelny, byle ocalić kraj i królowę.

— Puśćcie! — zawołała powtórnie.

— Miłościwa pani! — rzekł ze łzami niemal Dymitr — także to mało kochacie tę ziemię naszą, tak mało czcicie prochy dziada waszego, Kazimierza, który nauczył nas, jak żyć dla dobra drugich, iż chcecie nas opuścić? O sobie tylko myślicie; o narodzie, któremu miłość i opiekę przysięgliście, zapominacie? Tnijcie śmiało w tę furtę, zróbcie wyłom, wyrąbcie drogę toporem, lecz pozwólcie mi w pierw zginąć, by stare oczy moje nie oglądały niedoli narodu mego.

Królowej topór wypadł z rąk, łzy potoczyły się po licach, zachwiała się.

Dymitr podał ramię pani i wolnym krokiem poprowadził do zamku. Nikt im drogi nie zachodził, choć wielu wiedziało o zamiarze królowej. Nie chciano jej drażnić. Wiedzano, że był to ostatni krok dziecka, krok fałszywy, który spowoduje zmianę, usunie zachciankę, utworuje najgładszą drogę do myśli zgodnych z obowiązkami królowej.

Smutna była Jadwiga dni wiele. Pozostawiono ją w pokoju. Nie pytała o nic, zdawała się obojętną na wszystko. Gdy zasłyszała, iż Jagiełło nadciąga, pobladała i bardziej jeszcze posmutniała.

Lecz inna wieść wyгнаła ten smutek. Na dworze szeptało zbyt głośno, iż Wilhelm umknął z Krakowa. Wszyscy mówili o tem jego tchórzostwie, tak nieprzystojnem rycerzowi.

Gdyby był kochał królowę, nie opuściłby jej; gdyby był rycerzem, wołałby raczej zginąć, niżli ukrywać się, tembardziej że niktby mu nie bronił w jasny dzień wyjechać z miasta, chociaż na krzywdę narodu działał.

Jadwiga niechcący zasłyszała, gdy o tem mówiono. Teraz dopiero poznała Wilhelma! Do stroju był pierwszym, — brakło mu odwagi, by stanąć przy niej, lub jawnie, śmiało opuścić kraj, który go nie chciał.

Od tego dnia była spokojniejsza, twarz jej powoli się wy-pogadzała. Zaczęła przyjmować panów i brać udział w naradach nad sprawami kraju i nie rozgniewała się, gdy jej zapowiedziano rychły przyjazd Jagiełły.

Teraz już wszyscy wiedzieli, iż połączenie dwóch wrogów sąsiadów bez przeszkody przyjdzie do skutku.

7.

W poniedziałek 12 lutego 1386 roku przystroił się Kraków okazale, tak jak na wjazd Jadwigi. Kto żył, wyruszył z domu na ulicę, na powitanie wielkiego księcia litewskiego Jagiełły, który przybywał, by się stać z wroga ojcem narodu naszego.

Strojni w bogate szaty, ciągnęli panowie polscy i litewscy długim orszakiem. Wreszcie ujrzano Jagiełłę. Radosne okrzyki ludu nie miały końca. Jagiełło z uśmiechem dobroci dziękował za to serdeczne powitanie: czytali wszyscy w twarzy i oczach jego, że będzie dobrym panem dla tej ziemi, która go tak gościnnie przyjmuje.

Otoczony braćmi i panami, wjechał na zamek. Wprowadzono go wśród muzyki i głośnych okrzyków do sali, w której w królewskich szatach czekała go Jadwiga, blada ze wzruszenia. Lecz jedno spojrzenie wystarczyło, by ją przekonać, jakie fałszywe były baśnie, opowiadane o Jagielle.

Składnej postaci, zręcznych ruchów, żywej, łagodnej twarzy, wszedł Jagiełło śmiało, lecz bez zuchwalstwa do sali. Ujrzawszy piękną królowę, przystanął z podziwu. Potem szybko podszedł ku niej, najgorętszemi słowami dziękował za to, że go przyjęła, i przyrzekł, iż będzie dla niej dobrym mężem, dla narodu ojcem. Dziękował jej za to światło błogie, które dzięki jej spadnie na Litwę, i raz jeszcze uroczyste przyrzekł ochrzcić swój naród i z Polską zbratać, by wspólnymi siłami pracować na dobrą dolę.

Dary, przywiezione przez Jagiełłę dla Jadwigi, olśniły wszystkich przepychem i bogactwem. Panów polskich obdarzył też Jagiełło iście po królewsku.

Czwartego dnia po przybyciu do Krakowa przyjął chrzest św. wraz z braćmi.

Zaproszono wielkiego mistrza Krzyżaków, by trzymał Jagiełłę do chrztu, lecz odmówił przybycia, bo niczego sobie mniej nie życzył, jak tego obrzędu, który wyrwał mu z rąk pogańskich Litwinów i usuwał wygodny płaszcz, pod którym Krzyżacy wojowali z Litwą, niby dlatego, że była pogańską.

W niedzielę, 18 lutego, odbył się uroczysty obrzęd zaślubin królewskich, a w dwa tygodnie później, 4 marca, koronacja z takimże samym przepychem, jak koronacja Jadwigi.

Teraz dopiero zaczęły się na zamku i w całym mieście zabawy i ucztowania, które trwały cały tydzień. Królestwo przewodził ucztom na zamku, a nowy pan okazał się tak szczodrym, że nie było chyba nikogo, kto by czuł się niezadowolonym i krowiowi nieprzychylnym.

Stosownie do godności zajmowanego urzędu i zasług, każdy z panów krakowskich otrzymał dary od króla. Rozdarował Jagiełło ziemi niemało, drogich kamieni, ozdób, a nawet szat wspaniałych, których miał moc wielką, chociaż sam nigdy stroić się nie lubił.

Spytka z Melsztyna, który niemało się przyczynił do sprowadzenia Jagiełły, obdarzył iście po królewsku. Pan wojewoda nie zapomniał wszakże o tych, którzy mu w jego zabiegach pomagali.

— Miłościwy panie — rzekł — mam na dworze dwóch młodzieńców, których pragnę polecić łasce waszej królewskiej mości. Obaj dzielni i zdolni do boju, a starszy z nich niemało już dał dowodów rozwagi, sprytu i dzielności.

— Czy nie ten, któregoście na zwiady do mnie wysłali i który Hankę wiódł do Krakowa i napowrót?

— Ten sam i brat jego młodszy.

— Przyprawdźcie ich, trzeba mi ich dobrze poznać. Nie godzi się, by król był złym dłużnikiem wobec tych, którzy mu tak gorliwie służyli.

Po chwili obaj Odrowążowie stanęli przed królem. Odrazu bardzo mu się podobałi.

— Dłużny wam jestem, — rzekł — boście mi byli przyjaciółmi, nie widząc, mię jeszcze. Wiem o was od pana wojewody i od Hanki, który był waszym gościem. Dziękuję wam.

— Miłościwy panie, — rzekł na to Kazimierz — służyliśmy wam i służyć pragniemy zawsze, boście ojcem naszym i królem. Miło nam będzie choć życie dać za waszą miłość.

Jagiełło uradował się wielce.

— Nagroda wam się za wasze służby należy — rzekł — mówcie, czego żądacie.

— Miłościwy panie — odezwał się znowu Kazimierz, jako starszy — z miłości wam i królowej naszej służyliśmy, więc nagrody nam innej nie trzeba, jak tylko, byśmy miłości waszej i nadal służyć mogli. Jam zresztą nad zasługi już nagrodzony przez królowę. Oto jej dar, którego do śmierci z palca nie zdejmę — dodał, ukazując pierścień.

Król spojrzął z rozrzewnieniem na mówiącego, zadumał się i rzekł po chwili:

— Ja ci nic droższego dać nie mogę. Królowa opowiadała mi o tobie, lecz nie wymieniła nazwiska. Zacny jesteś i niech ci Bóg nagrodzi twą prawość! Mów zawsze prawdę i idź prostą drogą! Bądź nam wierny; my ci za to sercem wdzięczni będziemy, chleba ci też nigdy nie zabraknie.

Kazimierz ucałował rękę króla.

— O tobie — rzekł król do Janka — słyszałem, jak pragniesz do nogi wybić Krzyżaków.

Janek zaczerwienił się po uszy i słowa przemówić nie mógł.

— Toś ty mi przyjaciel, — ciągnął Jagielło dalej z uśmiechem — bo i ja tego pragnę, i da Bóg dożyjemy tej chwili, w której noga krzyżacka nie postoi na naszej ziemi. Wiem, żeś ty z bratem deptał tę drogę, po której do was przybyłem. On ma pierścień królowej — ty przyjm ten łańcuch ode mnie.

Drżącemi rękoma przyjął Janek ciężki złoty łańcuch i schylił się, by ucałować kraj sukni królewskiej.

— Miłościwy panie, pozwólcie mi pójść na pierwszą wyprawę, jaka będzie przeciwko Krzyżakom!

— Zgoda! zostań na zamku od dzisiaj, zuch, a wrychle zdaje się ruszysz w pole.

Król pożegnał młodzieńców.

— Dzielnym ludzi macie — rzekł do Spytka — bodaj tacy rodzili się na kamieniu. U nas posłuch większy, niżli u was; ale ta odwaga, ta śmiałość, z jaką wy wypowiadacie choćby królowi to, co wam z serca płynie, to skarb prawdziwy.

Pan wojewoda długo jeszcze został u króla.

Gdy wyszedł, uściskał Janka serdecznie i życzył mu szczęścia.

— Dzielnością i prawością służ twemu panu; pamiętaj, że, służąc jemu, służysz twjej ziemi rodzinnej.

Bracia rozstali się czule, wiedząc, że będą się co dnia widywali, pokąd Janek z królem nie wyruszy na Litwę.

— Napisz do ojca o wszystkim — rzekł wojewoda — rychłą będę miał okazję, to list wyślę.

Na dworcu zamkowym stały konie Spytka i jego dworzan.

Kazimierz chciał podejść do swego karego, którego luzak trzymał, gdy masztalerz królewski podprowadził prześlicznego, rosnącego gniadosza, osiodłanego kulbaką, wybijaną turkusami, pokrytego czaprakiem, bogato haftowanym złotem. Uzda nabijane złotem gwoździemi lśniła się w słońcu.

— Król przykazał wam tego konia oddać — rzekł masztalerz — boście w jego usługach pono niejednego zmęczyli.

Kazimierz stał zdziwiony, lecz wojewoda rzekł z uśmiechem:

— Nasz pan nikomu dłużnym nie zostaje; toż mnie dał własne sandały.

Rumak zarżał radośnie, gdy go Kazimierz dosiadł.

— Dobry znak — rzekł masztalerz. — daj Bóg, byście na tym koniu stoczyli bój zwycięski

Uplłynęło kilka tygodni, gdy pan wojewoda kazał przywołać Kazimierza.

— Nie tęskno wam do rodziców? — zapytał

— Czyż mógłbym nie tęsknić? — odpowiedział Kazimierz — ale służba każe tu siedzieć i nie żałę się wcale.

— Moglibyście pojechać na jaki tydzień, donieść o przyjęciu Janka na dwór królewski, zobaczyć, jak się mają rodzice.

— Jeślim tu niepotrzebny teraz, to z chęcią poskoczyłbym do domu.

— Możecie jechać. Tu pilnej pracy niema, a i starym i wam miło będzie. A przytem to teraz wiosna, zaczyna się praca w polu — może ojcu pomożecie.

— Mało mamy ziemi, więc i roboty niewiele.

Wojewoda wpatrywał się w Kazimierza z uśmiechem.

— Wartości ziemi przykupić, rozszerzyć się; człowiek na ziemi żyje, więc jej potrzebuje.

— Groszby się u ojca znalazł, ale ziemi tuż obok wolnej niema...

— Przeczytajcie — rzekł, podając mu papier.

Młodzieniec czytał, rumieńce biły mu na twarz, wreszcie wykrzyknął:

— Możeż to być?

— Jest tak. Ruszajcie choćby dziś jeszcze do domu, a za miesiąc czekam was z powrotem. Wypocznijcie, nacieszcie się i wracajcie!

Kazimierz na zamek do brata pośpieszył, długo z nim żywo rozmawiał, uściskał go, a na drugi dzień z Krakowa do domu wyruszył.

Radość w Grabowej była niezmierna, gdy ujrano Kazimierza. Pytaniom nie było końca. Musiał opowiadać wszystko po kilka razy. Pierścień Jadwigi całowano jak relikwię. To ojciec, to matka ściskali syna, a Oleńka z kolan jego nie scho-
dziła.

— Janek na dworze króla! — powtarzano z dumą. — Szczęście ma chłopak ogromne.

— Och, gdybym to ja mogła być przy królowej! — zawołała Oleńka.

— I ty chciałabyś nas porzucić?

Rzuciła się mała na szyję matce.

— O, nie, mamusiul! nie, nie porzucę!

Na drugi dzień wyjechał pan Wojsław z synem w pole. Minęli swoją i wkroczyli na sąsiednią polanę.

— A, wiesz? — rzekł ojciec — Rudakowskiego niema.

— Wyjechał?

— Wyjechał i zdaje się na zawsze. Nikt nie wie, dokąd i kto tu będzie gospodarzył. Wypytywałem ludzi, nic nie wiedzą. Myślałem, czyby teraz kupić nie można, ale przepadł bez wieści i niepodobna się dowiedzieć, komu oddał gospodarstwo, — chyba swoim kochanym Niemcom. Ale bo i ci pochowali się w mysie dziury i cicho siedzą.

Kazimierz milcząc jechał obok ojca, który rozglądał się po polach.

— Czas największy do pracy. Patrz, jakaby tu była pszenica, a tu owies jak lasby porósł.

Im dalej jechali, tem więcej się pan Wojsław zapalał, wskazując synowi, gdzie się co siać powinno i jakie tu korzyści odnieśćby można.

— Kiedy mi już wydarł tę ziemię, niechby choć jej pilnował, uprawiał, kochał! A tu, patrz, nic nie zrobiono prawie, a lato za pasem. Lepszego pana warta taka pocziwa ziemia! Dla mnie ona stracona, lecz chciałbym wiedzieć, w czyje ręce przeszła...

— W moje, ojczu...

— Kazik! — zawołał ojciec, spoglądając na niego — to żarty?

Kazimierz ojca w pół objął i zawołał:

— Nie, ojczu! prawdę mówię. Król tę ziemię odkupił i mnie ją darował, a ja przyjechałem, by ją wam oddać...

Stary stał oniemiały.

— Kazik, Kazik! — zawołał — prawdę ty mówisz, możeż to być?

— Tak jest, ojczu drogi, a oto nadanie królewskie. — I wyjął pergamin z pieczęcią.

Zsiedli z koni.

Pan Wojsław chciał czytać, ale łzy zabiegały mu w oczy. Schwycił syna w objęcia, ścisnął i płakał z radości.

— Szczodry pan! A choć wierzę, żeś ty wiele czynił, dar to przecie królewski, nad zasługi.

— Nic nie wiedziałem o zamiarze króla, tak skrycie to zrobił. Postyszał od wojewody o Polanie, kazał ją odkupić i mnie nadał. Dopiero gdy papier wręczył, dowiedziałem się o wszystkim. Kazał mi król powiedzieć, że szlachcic, który nosi na palcu pierścień królowej, powinien mieć ziemi swojej kawał i chatę własną, bliską rodzicielskiej, żeby, gdy spokojny czas pozwoli, osiadł pod bokiem tych, co go nauczyli kochać kraj swój i mówić prawdę.

— Szczęść ci Boże, mój sąsiedzie! — rzekł ojciec z uśmiechem, ściskając raz jeszcze Kazimierza.

— Długie lata upłyną jeszcze, ojczu, zanim zostanę waszym sąsiadem, — teraz wy tu panem i gospodarzem, ja gościem tylko jestem i jako gość zawitałem tu pod waszą strzechę. Muszę wracać rychło, bo kto wie, czy nie pociągnę z królem na Litwę. A może zdarzy się jaka wyprawa wojenna, bo z Krzyżakami pokoju spodziewać się nie można.

Choć gospodarz wielki, nie mógł już pan Wojsław dłużej wytrzymać w polu: pilno mu było do domu oznajmić żonie o szczęściu, jakie spotkało Kazimierza, i o jego własnem szczęściu, że już Rudawski nie wróci i że on sam zaraz karczmy porozwala.

Okrzyki radości napełniły cichy dworek. Wieść o nowym panu Polany rozeszła się szybko pomiędzy czeladzią i wybiegła poza dwór. Jeszcze tego samego dnia przybyli osadnicy i parobcy z Polany, by nowego pana powitać. Kazimierz prosił ich, by byli ojcu pomocą, a on im pewno ojcem i opiekunem będzie.

Jeden z parobków doniósł, że i Wolf chciałby się pokłonić panu, ale lękał się przyjsć.

— Powiedz mu — zawołał pan Wojsław — że teraz w Krakowie Jadwiga i Jagiełło królują, a tu my, niech więc nie czeka jutra, lecz zmyka, gdzie pieprz rośnie.

Na schyłku 1386 roku wyruszył Jagiełło na Litwę dla spełnienia wielkiej misji apostołskiej, ochrzczenia pogańskich jej mieszkańców.

Janek, jako dworzanin królewski, znajdował się w jego orszaku. Okolice, przez które przeciągano, nie wabiły oka. Co-

raz mniej ludzi, coraz mniej osad spotykano. Pola znikły, zaczęły się lasy nieprzejrzone i trzęsawiska, które musiano omijać. Wyprawę przedsięwzięto umyślnie tak późno, by po lodzie przejść moczary i niezliczone strugi, których latem lub wiosną zupełnie przebyć nie było można.

Smutnie wyglądał ten kraj, którego Janek był ciekaw.

Przybyli wreszcie do Wilna. Mieszkańcy z pokorą, lecz zarazem z trwogą witali pana swego. Wiedzano już, z czym przybywa. Wielu uciekało na widok biskupów i księży, którzy znajdowali się w orszaku Jagiełły. Śmielszymi byli Rusini, którzy z dawna byli chrześcijanami; śmiało też wystąpili i ci z Litwinów, co skrycie wyznawali wiarę św., korzystając z pobłażliwości Jagiełły, podpory Hanki i kościoła franciszkanów.

Na zamku powitała gości matka Jagiełły, księżna Juljanna, chrześcijanka, bardzo serdecznie i uspokoiła ich obawy co do niechęci ludu.

— Poczynaj z Bogiem pracę swą, synu, — rzekła do Jagiełły — a Bóg cię nie opuści. Mamy tu już chrześcijan niemało, ci staną przy nas, a lud, jeśli dziś ze strachem patrzy na krzyże, jutro, gdy usłyszy głos księcia swego, stanie przy nim, bo pana swego kocha i zna — bogów swoich nie zna, a lęka się. Kręwejtowie to boją się krzyża, bo on im władzę odbierze. Mało pośród nich takich, którzyby w Perkuna naprawdę wierzyli, lecz wyznać tego nie mają odwagi. Lud pogański przeczuwa, że koniec bogów się zbliża. Już od lat wielu krąży z ust do ust przepowiednia o upadku pogaństwa. Sto dwadzieścia i jeden lat upływa, gdy wyroczenia dała w ofierze świątyni wileńskiej Znicza 121 cegieł, wskazując, że gdy cegieł nie stanie, zgaśnie Znicz i przypadnie pogaństwo. Wszak to w tym roku ostatnią wmurowano cegłę, a na niej znajduje się znak krzyża... Lud z trwogą dowiedział się o tem i płynął ze wszech stron do Wilna, a choć krewe-krewejt, najwyższy kapłan w Wilnie, zapewnia, że Znicz jest wieczny i nigdy nie zgaśnie, lud nie dowierza mu, wierzając więcej przepowiedni.

Matka Jagiełły, bracia jego rodzeni i stryjeczni pomagali wielkiemu dziełu.

Zanim przystąpiono do chrztu, próbowano namowami i obietnicami skłonić do niego wybitniejszych bojarów, którzy znaczeniem swoim mogliby pociągnąć za sobą gromady narodu. Wszystkim, którzyby przyjęli chrzest święty, zapewniono równe prawa i swobody, jakie miała szlachta polska. Było to dla litewskich bojarów, którzy żyli w wielkiej od księcia zależności, przynętą niemałą.

Nie zapomniano też i o kapłanach pogańskich. Niejeden z nich uległ namowom i przyrzekł chrzest przyjmując. Kapłani ka-

tolicycy uczyli ich wiary Chrystusowej, przekonywali, w jakim obłędzie dotąd żyli, kłaniając się martwym bałwanom i ogniewi Znicza. Światlejsi i niezbyt uparci uznawali boskość naszej wiary i gorliwie się jej uczyli.

Wielkie dzieło było przygotowane. Brakło tylko dopełnienia obrzędu chrztu świętego i obalenia pogańskich świątyni.

Krewe-krewejt w Wilnie odpychał od siebie wszelkie namowy, nauk słuchać nie chciał, księży, którzy pragnęli mu wytłumaczyć osnowę wiary Chrystusowej, nie dopuszczał do siebie.

Jagiełło spróbował sam zwalczyć jego opór.

Kazał go przywołać do siebie.

Wszedł białowłosy starzec smutny, lecz spokojny, powitał pana swego milcząco i czekał.

— Wiecie — odezwał się Jagiełło — iżem się wyrzekł błędów pogańskich i przyjąłem wiarę Chrystusową, jedyną prawdziwą, świętą, zbawiającą... i chcę lud mój nawrócić, jakom Bogu ślubowałem za Jego łaskę i nawrócenie?

— Wiem, panie — odrzekł spokojnie, cichym głosem krewe-krewejt — iżecie opuścili naszych bogów prastarych i że odciągacie lud wierny, by go zaprzedać czarnym duchom, którzy tu z wami przybyli.

— Nie zaprzędaję ludu, lecz wiodę go do światła, zbawienia, by nie przepadł marnie na wieki w cieniu tych dębów, którym kłaniać się każecie, a które tyle mają mocy, ile ich jest w innych spróchniałych drzewach.

— Kniaziu miłościwy! — zawołał drżąc starzec — ojcowie wasi wierzyli bogom naszym i byli szczęśliwi; nie odwołajcie ludu od jego wiary!

— Ciemni jesteście — rzekł Jagiełło — lecz czemuż nie chcecie posłuchać moich kapłanów, by się przekonać, jaką jest ta wiara, którą daję memu narodowi?

— Jam stary i nie pora mi się uczyć, bom się nauczył wszystkiego od takich starców, jakim sam dziś jestem. Mnie uczyły odwieczne dęby, które patrzyły na wiele pokoleń i przeżyły je; mnie uczył Znicz święty, który nigdy nie zgaśnie... Nie chcę, nie chcę nowej wiary, nowych bogów!

— Jednego Boga mamy tylko! — zawołał Jagiełło — i ten jest Bogiem i ojcem wszystkich ludów na ziemi!

— Nie chcę go! Jeden Bóg?! — mówił jakby do siebie starzec — ten jeden miałby być silniejszy od naszych tyłu? To fałsz! Nie chcę o tem słyszeć i błagam was, panie, odpędźcie tych złych duchów, co was opętali, spalcie ich Perkunowi w ofierze, nie narażajcie się na pomstę naszych bogów, bo ona straszna będzie!

Jagiello niecierpliwil się. Pohamował jednak gniew i rzekł łagodnie:

— Starcze, żal mi waszych białych włosów; ustąpcie, by was nie opuścili wasi bożkowie...

— Paniel — zawołał starzec z zapalem — ja was błagam, nie dotykajcie naszych drzew starych, nie dotykajcie świętego ognia Znicza, bo buchnie płomieniem, od którego zgorzeje ten stary zamek nad głową waszą!

— A jeśli ten ogień zgaśnie, gdy nań naleją wody? Jeśli na miejscu Znicza ujrzycie zimne popielisko, a nam włos z głowy nie spadnie, czy uwierzycie, że nasz Bóg silniejszy, że On jest jedynym prawdziwym Bogiem?

— Nie uwierzę, bo żadna siła Znicza nie zgasi.

— Przekonacie się wkrótce — rzekł Jagiello i odwrócił się.

Żal mu było sędziwego starca, lecz widział, że uporu jego nie przełamie.

Krew-krewejto odszedł, powtarzając:

— Nikt Znicza zgasić nie zdoła i biada temu, kto się nań targnie.

Kilka dni ledwo upłynęło od tej rozmowy, a przekonał się krew-krewejto, iż nie brakło ludzi, mających odwagę targnąć się na Znicz, od wieków płonący, na święte drzewa i liczne posągi bóstw pogańskich Litwy. W obecności Jagielly i duchowieństwa rzucił się chrześcijanie na świątynię zamkową. Wiadro wody starczyło do zagaszenia ognia, który podług wierzeń Litwinów miał być wiecznym.

Litwini cisnęli się do świątyni, by widzieć, jak bóstwo skarże zuchwalców — ogień w zetknięciu z wodą wydał syk krótki, raz jeszcze buchnął silniej, osłoniła go gęsta para — i znikł na zawsze. Woda z popiołem zmieszana ściekała z wolna z kamieni ołtarza.

Poganie stanęli zdumieni, zapatrzeni w ołtarz, oczekując cudu... daremnie. Rodacy ich, którzy już dawno byli skrytymi chrześcijanami, spoglądali na nich, jakby oczyma chcieli powiedzieć: oto wasze bóstwo.

Po długim milczeniu zaczęli poganie odstępować od ołtarza, a chrześcijanie, uzbrojeni w topory, wzięli się do niszczenia świątyni.

Pod silnemi rżami zachwiały się ściany, lud rozstąpił się i ujrzał krew-krewejtę, uchodzącego z walącej się świątyni do gaju, który ją otaczał. Ledwo mała garstka poszła za nim.

Runęła świątynia Znicza, lud patrzył na ruiny z żalem, ale nikt nie odważył się stanąć w obronie tego, co do niedawna

jeszcze było świętością. Chrześcijanie ruszyli dalej, walić czczone przez pogan drzewa, wyrąbywać gaje, obalać posągi.

Tymczasem księza i sam Jagiello nauczali lud nowej wiary i tłumaczyli, jako ona jedna daje człowiekowi zbawienie, jak przez nią Litwa staje się siostrą Polski, potęgą, jak śladem tej wiary przyjdzie spokój od Krzyżaków, tych śmiertelnych wrogów Litwy.

Kto odrazu nie zrozumiał zasad świętej wiary Chrystusowej, ten rozumiał przecie łatwo, że idzie tu o pogrom zaciętego wroga. Hasło: „póki pogaństwa na Litwie, póty Krzyżaków“, puszczone przez kogoś z bliskich Jagielly, podawano sobie z ust do ust i lud tłumnie cisnął się do chrztu. Każdy otrzymał od Jagielly białą wełnianą szatę, wielu i inne jeszcze podarki.

Tłumy nadbiegały coraz większe, tak, że księza rady sobie dać nie mogli; wtedy poczęto chrzczyć ludzi gromadami, nadając każdej gromadzie wspólne imię i patrona świętego.

Po ochrzczeniu wszystkich pogan, znajdujących się w Wilnie, wyruszył Jagiello wraz z duchowieństwem i licznym dworem na objazd kraju, by i tych, którzy zdoła od stolicy mieszkali, na wiarę Chrystusową nawrócić.

Trwał ten objazd kilka miesięcy. Nigdzie nie stawiano oporu, lud garnał się chętnie pod znamię krzyża, bo przywykł był słuchać woli pana swego i wierzył, że postanowienie Jagielly dobre i pożyteczne być musi.

Janek przy boku Jagielly krzątał się po Litwie. Z Rusinami się przyjaźnił, z Litwinami zrośł się jak z braćmi i tak sobie umiał jednać serca ludzi, że wszyscy go lubili, wrogim nikt mu nie był. Niemal toż sprytem swym pomagał królowi, który mu ufał, chętnie do posług ważnych używał. Wszędzie go było pełno, bo próżnować nie lubił, do czynu rwał się i wy-czekiwał chwili, w której będzie mógł ruszyć na wojnę.

Do rodziny było mu tęskno, lecz droga daleka, więc odwiedzić jej nie mógł, korzystał jednak z każdej okazji, by list przesać i donieść o sobie.

Dopiero pod koniec lipca przybył z królem do Krakowa, nacieszył się bratem, lecz do domu wpaść nie mógł. Król go od siebie nie puszczał, ciągle go mieć przy sobie chciał, czy to w grodzie, czy na polowaniu.

Rychło miał znowu pociągnąć ku Litwie, nad którą zaczynały się zbierać chmury groźnej wojny z Krzyżakami.

Witold, niedawno pojednany z Jagiellą, knuł nową zdradę, bardzo na rękę Krzyżakom, czyhającym na chwilę osłabienia Litwy, które niezgoda domowa musiała pociągnąć za sobą.

Janek, zmężniały i wyrobiony na dzielnego rycerza, zaharowany na ciągłych polowaniach, rwał się do oręża i pragnął, by wojna co rychlej wybuchła, by co rychlej można było zgnieść Krzyżaków, których dobrocią ująć niepodobna. Zawierali układy, przysięgali pokój, podpisywali umowy, — a w rok lub dwa najpóźniej znowu rzucali się na Litwę, niszcząc ją ogniem i mieczem.

Królowa Jadwiga usiłowała utrzymać pokój z Krzyżakami, czyniła olbrzymie ofiary, byle tylko uniknąć krwi rozlewu. Ale pokój wisiał na włosku, a choć Polska w wojnie nie miała brać udziału, Litwa była zagrożoną i Polacy na ochotnika wybierali się iść jej na pomoc.

9.

Minęło lat dwanaście od dokonania wielkiego dzieła — chrztu Litwy.

W Grabowej smutno było bardzo.

Pan Wojśław gospodarował w Grabowej i w Polanie. Kazimierz, który od kilku lat przy rodzicach osiadł, pomagał mu w pracy, Oleńka urosła na dorodną pannę, matka posiwiała i bardzo się pochyliła ku ziemi, oczy od łez zapadły wgłąb i nikt już uśmiechu nie widział na jej twarzy.

Jednego bowiem brakło w tym gronie — Janka, który zginął przed kilku laty na Litwie w czasie jednego z licznych napadów krzyżackich.

Rwał się do wojaczki ogromnie, tak że nawet Jagiełło nie mógł go przy sobie utrzymać; musiał go puścić, by, broniąc Litwy od najeźdźców, w ten sposób skuteczniej mu służył, aniżeli będąc przy dworze. Nawojował się niemało i w każdej bitwie sprawiał się dzielnie, a dowódcy nachwalić się go dość nie mogli. Szczególniej do podjazdów był doskonały. Nikt lepiej od niego nie umiał zasięgnąć języka, napaść niespodzianie na mały oddział nieprzyjacielski, urwać kilku ludzi, przerazić nagłym napadem i skryć się jakby pod ziemię. Wkońcu tak się wprawił do wojaczki, iż ważył się na największe niebezpieczeństwa.

Jagiełło ogromnie Janka polubił, nakazywał dowódcom, by go oszczędzali, ale nic to nie pomagało. Janek tak umiał prosić, iż gdzie było największe niebezpieczeństwo, tam go musiano puścić.

Sprawił się zawsze tak gracko, iż wreszcie ani on, ani towarzysze jego nie myśleli o tem, że mogłaby się zdarzyć przygoda, któraby dla niego była niebezpieczną.

Aż nadszedł dzień dla Janka złowrogi. Puścił się z kilku towarzyszami na zwiady, wyciął w pień parę małych oddziałów krzyżackich i szczęśliwie posuwał się naprzód, by zbadać sity wroga. Z tej wycieczki powrócił tylko jeden z jego towarzyszy — Janek i reszta zginęła... Ocalały nie umiał nawet dokładnie określić miejsca, w którym padł Janek.

Jagiełło, dowiedziawszy się o tem smutnem zdarzeniu, rozkazał poszukiwać ukochanego chłopca, posyłał najętych ludzi na zwiady, czy Krzyżacy nie schwycili dzielnego rycerza do niewoli, — ale wszelkie poszukiwania okazały się daremnymi. Ani śladu, ani zwłok Janka nie znaleziono. Nikt wszakże nie wątpił, że zginął w utarczce z przeważną siłą niemiecką, a Krzyżacy porwali trupa z sobą, by go z szat i pieniędzy obedrzeć. Pewno w obawie pogoni pomknęli z nim daleko i zwłoki rzucili gdzieś do rzeki lub do bezdennego bagniska.

Król zawsze z żalem wspominał o ulubieńcu swoim i nieraz mawiał, że drugiego takiego zucha nie znajdzie; sam co rok kazał odprawiać mszę żałobną za duszę Janka i gorąco się podczas niej modlił.

Rodzice po stracie Janka posmutnieli bardzo, a choć im dwoje dzieci jeszcze pozostało, nigdy utraconego żałować nie przestawali.

Pan Wojśław zestarzał się ze smutku i prosił, aby Kazimierz do domu powrócił pomagać mu w pracy. Czasy były dla Polski dość spokojne, więc też i nietrudno było Kazimierzowi uczynić zadość woli rodzica.

— Wiem, ojczy, że Jadwiga, póki żyje, nie zgodzi się na wojnę Polski z Krzyżakami. Nie chce krwi przelewu, choćby to była krew wrogów. Czuję ona, że wrogami są nam Krzyżacy, lecz tyle wycierpiała w swem młodem życiu, tyle się napłakała nad losem swej matki i siostry, iż ślubowała Bogu wojny z nikim nie prowadzić. Póki ona żyje, wojny nie będzie... ale lękam się, że pani nasza nie długowieczna. Wątpię jest bardzo i słaba. Żyje przytem jak święta, posty i umartwienia pół życia jej zajmują. Skąpi sobie wszystkiego, by hojną ręką obdarzać biednych.

— Słyszałem o tym ślubie królowej, a choć stary jestem i pragnę dożyć chwili pogromu Krzyżaków, bardziej jeszcze pragnę, by nam Bóg zachował naszą panią jak najdłużej.

Jednostajnie, spokojnie, lecz smutnie płynęło życie rodziny Odrowążów. Wśród pracy i modlitwy płynął im dzień po dniu zdala od gwaru i świata. Gość rzadko zawiatał w te strony, by opowiadaniem o sprawach krajowych rozerwać jednostajność życia. Czasem który z dawnych towarzyszy Kazimierza na dworze wojewody zajrzał do Grabowej, czasem kto z powinowatych

pani, ciągnąc z Rusi do Krakowa, spędził kilka dni pod gościnnym dachem — i znowu wracał tryb jednostajny, spokojny.

Aż oto zawitała pod spokojną strzechę wieść smutna, różbiegająca się lotem błyskawicy po kraju:

— Królowa Jadwiga umarła!

Stary Odrowąż zachwiał się na nogach, usłyszawszy te słowa, potem jak dziecko się rozplakał i długo, długo modlił się za spokój duszy tej dobrej pani, która gwiazdę pokoju i szczęścia przyniosła ziemi naszej, a światło zbawienia Litwie.

Wraz ze śmiercią Jadwigi podawano sobie z ust do ust treść jej ostatniego zarządzenia. Oto cały swój majątek, pieniądze i liczne klejnoty ofiarowała dla ubogich i na odnowienie akademii krakowskiej.

Płacz rozległ się po ziemi całej, a echo jego odbijało się aż wśród odległych borów niedawno za sprawą Jadwigi ochrzczonej Litwy.

Tłumnie śpieszono do Krakowa, by po raz ostatni spojrzeć na to zacne oblicze królowej, które lat czternaście jaśniało na ziemi naszej dobrocią, łagodnością, miłosierdziem dla biednych.

Kazimierz przybył do stolicy i nie mógł powstrzymać łez na widok miasta, pogrążonego w smutku. Dziś ten gród stary wydał mu się więcej czcigodnym, aniżeli w ów świąteczny dzień, kiedy wśród płasów witano wjeżdżającą Jadwigę. Do radości każdy ochoczy — ale smutek głęboki występuje dopiero wtedy na jaw, gdy z prawdziwej miłości utraconej osoby wypływa.

Cały Kraków płakał po Jadwidze.

Biedacy, którzy w królowej tracili najlepszą opiekunkę i dobrodziejkę, tłumnie cisnęli się do zamku. Dostojni panowie, którzy niegdyś prowadzili na tron królowę dziewczeczkę, sędziwi ludzie, posiwiali w pracy i bojach, łez powstrzymać nie mogli.

Kazimierz długo modlił się u zwłok królowej, patrząc na to jasne, pogodne i pełne dobroci oblicze.

Wychodząc z zamku, zatrzymał się, by się przypatrzeć tłumom, cisnąącym się do niego. Stał dość długo, gdy człowiek jakiś, ubogo ubrany, — sądząc po warstwie pyłu, pokrywającego jego odzież, zdaleka przybyły, — zatrzymał się nieopodal niego i widocznie zaczął mu się przypatrywać. Kazimierz zwrócił na niego uwagę.

Człowiek był jeszcze młody, lecz ogromnie zbiedzony, wychudły, o zapadłych policzkach i długiej brodzie. Opierał się na grubej lasce, widocznie z trudnością trzymając się na nogach. Przez twarz miał długą kresę, dawno zabliznioną, lecz głęboko wżłobioną w ciało. Oczy tak głęboko zapadły, że niepodobna było poznać ich barwy.

Wpatrywał się uparcie w Kazimierza, którego zaczęło to dziwić. Wreszcie, sądząc, iż ma przed sobą biedaka, potrzebującego wsparcia, już miał sięgnąć do sakiewki, gdy nieznajomy postąpił parę kroków ku niemu i drżącym głosem odezwał się:

— Kaziki!

Kazimierz rzucił się naprzód, schwycił nieznajomego za rękę i krzyknął;

— Wielki Boże! Janku, tyś to, czy duch twój?

— Jam, bracie, żyw jeszcze...

Obaj padli sobie w objęcia i zapłakali.

Ludzie zaczęli się koło nich gromadzić. Spozstrzegł to Kazimierz i, trzymając brata w pół, rzekł:

— Chodźmy stąd!

O ile siły Janka pozwalaly, pośpieszył do mieszkania Kazimierza. Janek ledwo na nogach się trzymał. Milczeli po drodze.

Przybywszy do mieszkania, Kazimierz zakrzętał się przedewszystkiem około posiłku. Czarka starego wina pokrzepiła Janka. Brat zmusił go, by jadł, o nic pytać nie chciał, dopóki Janek sił nie nabierze. Sam pomógł mu wymyć się orzeźwiająco zimną wodą, przeodział w swoje szaty, jeszcze raz winem pokrzepił i leć kazał na wygodnem łożu.

Janek bronił się bratu, ale to nic nie pomogło. Kazał mu leżeć i opowiadać.

Ale nim zaczął wypytywać o losy brata, ukląkł do krótkiej modlitwy i tzy jak groch posypały się po jego męskich policzkach.

Janek wytrzymać nie mógł na łożu, zerwał się i obok brata padł na kolana.

— Janku, mój Janku! — wołał Kazimierz — oczom moim wierzyć nie mogę, żeś to ty...

— Nie dziw, bracie, bo i mnie jeszcze się wierzyć nie chce, że jestem wolny, że oddycham powietrzem ziemi rodzinnej... Po tylu latach! Wiesz, że zawsze pełen był ufności i wiary, ale były chwile, w których wątpiłem, czy was ujrzę... A matka, ojciec, Oleńka, czy zdrowi wszyscy?

— Zdrowi, Bogu dzięki, lecz rodzice bardzo postarzelisi, troška i żal po tobie pochyliłi ich ku ziemi.

— Dla nich to Bóg mnie ocalił, bym mógł ich jeszcze pocieszyć, by nie wypłakiwali oczu po mnie. I da Bóg jeszcze ich lepiej ucieszę, gdy wrócę z wyprawy zwycięskiej, bo tej dożyć musimy wszyscy.

— Dożyjemy, bracie drogi, lecz tobie teraz myśleć o odzyskaniu sił i zdrowia...

— Tyle czasu jeszcze się znajdzie, ale czuję, że dzień po-

gromu Krzyżaków się zbliża. Królowa nasza usnęła, nikt ich teraz nie zasłoni przed mieczem naszym...

Oczy mu się zapaliły na wspomnienie Krzyżaków.

— Mów, Janku, co się z tobą działo?

— Długa to i krótka zarazem historia. Pewnościście słyszeli, zem zginął podczas podjazdu. Wiesz, jak Krzyżacy ciągle niepokoiłi Litwę, — choć przymierza zawierali, nie przestawali napadów. Ja, jak wiesz, na ochotnika zostałem przy Litwinach, bo mi się strasznie chciało wojować z Krzyżakami. Wybrałem się na podjazd w kilku ludzi tęgich i szczęściło mi się; po drodze zmiołem parę małych pocztów krzyżackich i zapędziłem się dalej aż ku ich granicy, by zasięgnąć języka, gdzie i w jakiej sile zbierają się do napadu na Litwę. Wtem ujrzałem dziesięciu rajtarów krzyżackich. Podałem się nieznacznie pod ich bok i zniecka uderzyliśmy. Trzech padło pod pierwszymi razem — reszta w nogi. Chciało mi się koniecznie wziąć bodaj jednego żywcem. Puściliśmy się za nimi. Konie mieli dobre, widocznie niezmezone, a nasze tego dnia zrobiły już mil kilka. Pomimo tego wkrótce byliśmy im na karku i rozpoczęła się rąbanina. Bylibyśmy ich zwyciężyli, gdyby nie pomoc, która im w tej chwili nadbiegła co najmniej w sto koni. Otoczyli nas wmg, odwrotu nie było, postanowiłem bronić się do upadłego. Kilku jeszcze zwaliłem z koni, ale dostał cięcie przez całą twarz. Zachwiałem się i padłem z konia...

— Ocknąłem się dopiero gdzieś daleko za granicami Litwy. Twarz miałem przewiązaną, ręce związane silnym powrozem, przytroczone do konia, na którym jechał ciężki rajtar krzyżacki. Zawleczono mię do Malbarga, oddano do szpitala, gdzie przeleżałem kilka miesięcy. Były to najszcześniejsze chwile mej niewoli. Mni si szpitalni dokuczali swemi szyderstwami, lecz mało ich rozumiiałem — zresztą w porównaniu z tem, czego doznałem później, był to raj.. Na nic się nie zdało skarżyć na to, co przeszło, ale tego, com przecierpiał, opisać nie potrafię. Nie było tak ciężkiej i obrzydliwej roboty, do którejby mnie nie używano. Gdy mi sił brakło i upadałem ze znużenia, bito mię batami... A przytem ile obelg się nasłuchałem na naród nasz i na tę świętą panią, która dziś w Bogu spoczywa... O! my musimy zgnieść tych niecnych Krzyżaków!

Zerwał się znów i zaczął chodzić po komnacie ogromnemi krokami, pięście zacisnął, a z oczu zda się iskry mu się sypały. Po chwili usiadł znowu i kończył opowiadanie.

— Cierpliwości mi w końcu brakło. Pewnego razu, przykuty jedną ręką do taczki, wiozłem ziemię nazewnątrz wałów Malbarga. Mój dozorca oddalił się na chwilę. Rozpacz mię ogarnęła. Czulem, że dłużej tak żyć w niewoli sromotnej nie

zdołam. Nie zastanawiając się nad skutkami, nie myśląc o tem, że krok ten życiem przypięcę, rzuciłem się z wysokiego wału na dół, ciągnąc taczkę za sobą. Fosa jak przepaść była podemną. Na stromym stoku wałów rosły tu i owdzie krzaki. O jeden z nich zawadziła moja taczka, na chwilę uczulem się zawieszonym, lecz trwało to bardzo krótko. Łańcuch, szarpnięty gwałtownie, pękł i spadłem dalej, na dno fosy. Straciłem przytomność. Gdy się ocknął, była noc ciemna. Przypomniałem sobie całe zdarzenie, a choć sił miałem niewiele, zacząłem zaraz poomacku drapać się z fosy na wierzch. Po ogromnym wysiłku znalazłem się na polu. Kierując się podług gwiazd, uciekałem, co sił starczyło. Pókim był na wrogiej ziemi, przemykałem się tylko nocami, przymierając z głodu. Odetchnąłem dopiero na Litwie, ale i tam spokoju nie miałem. Spieszyłem do domu, gdy oto zaskoczyła mnie wiadomość o śmierci królowej, więc się zatrzymałem, by jej cześć oddać po raz ostatni tu na ziemi... I tu ciebie mi Bóg zesłał.

Kazimierz łzy miał w oczach, gdy słuchał tego opowiadania.

— Pilno ci do rodziców, Janku, lecz radzę zatrzymać się trochę w Krakowie, do pogrzebu królowej. Potem ruszymy razem do domu. Tymczasem wzmocnij się i tem większą sprawisz rodzicom radość, gdy cię ujrzę nie tak zmizerniałego. A wypada też pójść do króla, który, choć bardzo strapiony, rad cię powita, bo cię miłował ogromnie i długo kazał cię szukać. Byliśmy pewni, żeś zginął, i sam król corocznie słuchał mszy żałobnej za ciebie.

— Zaczny pan! Pójdę do niego, by podziękować za tyle łask i przysiąc, że ostatnią kroplę krwi oddam, byleśmy zgnieli Zakon.

Pod troskliwą opieką brata Janek szybko siły odzyskiwał, stał się raźniejszym, nawet mniej chudym się wydawał.

Doczekali smutnego obrzędu pogrzebowego. Niezliczone tłumy zapełniły miasto, żałoba w sercach, łzy były w oczach wszystkich, gdy składano zwłoki Jadwigi do grobowca.

Kazimierz, który pierścienia królowej nie zdejmował z palca, płakał, jakby żegnał kogoś z najbliższej rodziny.

Podczas pogrzebu zwrócili dworzanie królewscy uwagę na towarzysza Kazimierzowego, który był wszystkim obcy. Po pogrzebie kilku znajomych zbliżyło się do nich. Uszom własnym wierzyć nie chcieli, że to Janek Odrowąż.

Wieść się wnet na zamku rozniosła, a kiedy Janek następnego dnia się zgłosił, by do króla przystęp uzyskać, przyboczny dworzanin już czekał na niego; Jagiełło wieczorem do-

wiedział się o powrocie ulubieńca i zaraz go kazał wpuścić, gdy tylko przyjdzie.

Natychmiast wprowadzono Janka do komnaty królewskiej. Do nóg chciał przypaść królowi, ale Jagiełło ujął go za rękę i w głowę pocałował.

— Oplakaliśmy cię jako umarłego. Cudem chyba wracasz. Znak to, że długo żyć będziesz i, da Bóg, pomścimy twej krzywdy.

— Miłościwy panie, Bóg istotnie cudownie mię ocalił. Wierzę, że przydam się jeszcze na coś, i przysięgam, że nie poskąpię trudu i krwi dla dobra kraju i waszej królewskiej mości.

Musiał Janek opowiadać królowi dzieje swojej niewoli. Jagiełło słuchał z uwagą, zrywał się czasami, pięście zaciskał i mruzczał coś, jak lew rozgniewany. Gdy się opowiadanie skończyło, rzekł król:

— Teraz zatrzymać cię nie śmiem, pora ci wracać do rodziny, która ły za tobą wylewa. Jedź do domu i nabieraj sił, bo będziesz ich potrzebował. Nie dziś, bo wielkie rzeczy nie dzieją się z dnia na dzień; na wszystko trzeba czasu. Naprzód nie wyrrywaj się, w tyle nie zostawaj—to moje przysłowie i zawsze się go trzymam; — ale wiem, że ono doprowadzi mię wkońcu do celu, którego wszyscy wyglądamy. Wtedy ty bądź przy mnie. Dziś smutek na mnie padł wielki, ale żyć muszę, by dokończyć tego, com sobie ślubował. Nie szukam zwady, zwlekam chwilę ostateczną, aż się wyczerpie moja cierpliwość i urosną siły nasze, a wtedy, przez Bóg żywy, popłynie krew aż ku Bałtykowi!

— Idź do swoich — dodał król po chwili — niech się nacięszą tobą rodzice twoi. Zanieś im pozdrowienie ode mnie i powiedz, jako mi żal tych łez, które za tobą przelali, gdyś ty cierpiał. Mam tam zdawna nieopodał was kawał ziemi, — już kazałem, by ci go dali. Przyjm go nie jako nagrodę, lecz na pamiątkę, że pozostają twoim dłużnikami.

Jankowi ły zakręciły się w oczach, chciał się wymówić od tego daru, ale Jagiełło ręką skinął, jakby się domyślał, co mógł usłyszeć, i rzekł:

— Nie dziękuj, nie mów nic; bierz, bo tem mi radość sprawisz... A jam teraz bardzo smutny i pociechy mi wiele potrzeba.

Mówiąc to, patrzył na pierścionek ślubny Jadwigi, którego nigdy do śmierci z palca nie zdejmował.

Janek ucałował rękę królewską i oddalił się.

Tegoż samego dnia jeszcze wyruszyli młodzi Odrowążowie do domu.

Lękając się, by zbyt nagła radość nie wzruszyła nad miarę

i nie zaszkodziła zdrowiu rodziców, Kazimierz z drogi wysłał do domu posłańca, donosząc, że dowiedział się napewno, iż Janek żyje i jest w niewoli; że król już za niego okup wysłał, więc lada dzień należy spodziewać się jego powrotu.

To niewinne zmyślenie bardzo się przydało, bo i tak po przeczytaniu listu starzy Odrowążowie omal nie pochorowali się z radości. Gdy pierwsze wrażenie minęło, uspokoili się. Matka nie była jeszcze pewna i lękała się, że może Krzyżacy nie puszczą Janka, lub że może zginął w niewoli; lecz ojciec ją pocieszał, ufając słowu króla i licząc na chciwość krzyżacką, która nie wyrzeczy się wysokiego okupu.

Wśród rozmowy o tem uspokajali się oboje, aż wreszcie takiej nabrali pewności, że spoglądali tylko ku wrotom, azali Janek nie jedzie.

Janek w czasie pobytu w Krakowie odżywił się trochę, sił nabrał, a odziany w porządne szaty, wcale inaczej wyglądał, aniżeli w ów dzień, gdy go Kazimierz spotkał w podwórku zamkowym.

Trudno opisać radość rodziców i Oleńki, gdy obaj bracia zjawili się w Grabowej. Śmiech i płacz, pytania i odpowiedzi zmieszały się w taki chaos, że długi czas nikt nikogo zrozumieć nie mógł. Oleńka najbliższa była przy Janku, jakby go chciała za wszystkie minione lata wyściskać i wyciąlować.

Dopieroż zaczęły się nowe okrzyki, gdy Janek opowiadał o darze królewskim, a ojciec, który, jako dobry ziemianin, znał całą okolicę na wylot, zaczął chwalić tę nową posiadłość, od Grabowej odległą nie dalej, jak godzinę drogi.

Zakipiało nowe życie w smutnym dotąd dworze. Opowiadaniom końca nie było, ale i do pracy wzięto się nie na żarty. Przybył kawał ziemi niemały, dobrze zagospodarowany, ze zbożem pod żniwo gotowem, z bydłem licznem, bo król wszystko bez zwłoki Jankowi oddać kazał.

Szczęśliwa dola zawitała do Grabowej, a z nią wesołość i większa ochota do pracy.

Ten i ów z sąsiadów zajrzał do dworu Odrowążów, a każdy, wracając do domu, nie mógł się nachwalić tej zgody i miłości, tej czci dla rodziców, jakie u nich widział. Za wzór stawiano Odrowążów wszystkim; ojcowie kazali swym dzieciom uczyć się od Kazimierza, Janka i Oleńki, jak należy kochać i czcić rodziców.

krzątał się jeszcze około gospodarstwa, acz w większych pracach synowie go wyręczali. Nieraz prosili, by już na nich zdał wszelką pracę — nie chciał, powtarzając zawsze:

— Jeszcze nie pora. Nie chcę odwyknąć od zajęć, bo jeszcze przyjdzie dzień, kiedy wy oba wyruszyście, może na długo, a wtedy ja was tu zastąpić muszę.

I nadszedł dzień przewidywany. Rozesłano wici po kraju. Kto miał siły do dźwigania broni, śpieszył pod wodzę króla. Nadeszła chwila obrachunku z Krzyżakami...

Wyczerpał Jagiełło wszystką cierpliwość; pragnął zgody i pokoju — ale musiał także odebrać to, co Krzyżacy zagrabilili. Butni rycerze Zakonu ani słyszeć chcieli o oddaniu zrabowanej ziemi Dobrzyńskiej i Żmudzi; woleli wojnę, niżeli uczciwy pokój.

Kazimierz i Jan Odrowążowie wyruszyli pod chorągwie, śpieszące na obronę ziemi rodzinnej przeciwko najeźdźcom.

Zebrało się wojsko polskie, litewskie, ruskie, ba, nawet i tatarskie, w takiej liczbie, jakiej dotąd nie widziano. Krzyżaków liczono blisko tyleż, co po naszej stronie; lecz nasi nie wszyscy byli tak dobrze uzbrojeni i do boju zaprawni, jak wojska krzyżackie.

14 lipca 1410 r. stanęło wojsko nasze pod wodzą Jagiełły i Witolda pod Dąbrownem. Zdobyto miasteczko, rozłożono się na nocleg, by następnego dnia ruszyć dalej ku zbliżającym się z drugiej strony Krzyżakom.

We wtorek 15 lipca spotkały się oba nieprzyjacielskie wojska pod Grunwaldem. Krzyżacy zajęli lepsze miejsca, na wzgórzu gładkiem; polskie i litewskie wojsko rozłożyło się w nizinie opartej o las. Zdawało się, że stanowisko naszych niebardzo jest wygodne; Krzyżacy radowali się w duchu z tego, że z góry na nas wpadną i bez trudu zwyciężą. Z pogardą patrzyli na nasz obóz i przygotowali pęć tysięcy, by mieć czem wiązać zwyciężonych i pobranych w niewolę.

Podczas gdy Witold i miecznik krakowski Zyndram szykowali wojsko do boju, Jagiełło w przenośnej kapliczce, ustawionej na wzgórzu, wysłuchał na klęczkach dwóch mszy i modlił się gorąco. Wiedząc, iż wodzowie sprawią szyki jak najlepiej, czuł potrzebę modlitwy.

Południe minęło, a król jeszcze był na klęczkach. Zdawało się, że wśród modlitwy zapomniął o boju.

Krzyżakom skwar dokuczał; nasi, schronieni częścią na skraju lasu, nie tyle strudzeni marszem, mniej też cierpieli. Z obu stron czekano hasła do rozpoczęcia boju, lecz z naszej strony nie śpieszono się wcale.

Zniecierpliwieni Krzyżacy wysłali do Jagiełły dwóch heroldów z mieczami.

— Przynosimy w imieniu wielkiego mistrza, wielkiego marszałka i całej braci zakonnej, tobie, królu, i tobie, książę Witoldzie, te oto dwa miecze nagie, w pomoc i zachętę do boju, który dziś stoczyć macie. I pozwalają wam ci panowie zakonnicy wybrać sobie miejsce do bitwy, w którejkolwiek stronie zechcecie. Dlatego nie trwońcie czasu, nie kryjcie się w mroku leśnym, nie chowajcie się małodusznie, nie strońcie od walki, której uniknąć nie możecie — przemówił hardo herold.

Król z żalem przyjął miecze, widząc, iż już zgody być nie może i odparł:

— Pomocy nie szukam u nikogo innego, jak tylko u Pana Boga. W Jego też imieniu przyjmujemy te miecze i chcemy niezwłocznie rozprawić się z wami walką orężną. Lecz miejsca bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie zna i wytyka plac boju. On go wam i nam już oznaczył.

Wnet dano hasło do walki.

Niemcy z szaloną gwałtownością spadli na naszych z góry, uderzając w najbardziej wysunięte skrzydło litewskie. Godzinę trwał bój zacięty — wreszcie nie mogli Litwini i Tatarzy wytrzymać napadu ciężkich rajtarów niemieckich, linja przełamała się, część Litwy poszła w rozsypkę. Krzyżacy rzucili się w pogon, pewni, że zwycięstwo zostanie po ich stronie.

Wtem ruszyli naprzód Polacy i bój zawrzał z nową srogością.

Ale rycerze niemieccy, upojeni powodzeniem, nie dali sobie łatwo wydrzeć zwycięstwa. Już omal że nie zdobyli naszego sztandaru, już i oddział polski chwiać się poczynał, tembardziej że Niemcom na pomoc poskoczyło szesnaście chorągwi, które dotąd stały w odwodzie bezczynnie.

Na ich czele sam wielki mistrz Ulryk von Jungingen pędził w bój.

Radość Niemców nie długo trwała, bo oto wojsko nasze miało jeszcze w odwodzie trzecią część, która teraz z rozmachem wpadła z boku na Krzyżaków.

Teraz dopiero rozpoczął się bój na życie i śmierć. Nasi skupili się i z siłą niesłychaną zaczęli ścisnąć Krzyżaków. Ci bronili się do upadłego, lecz coraz ciaśniejsze około czuli kleszcze, coraz mniej miejsca mieli do walki, coraz silniejszym okazywał się nieprzyjaciel, którym niedawno jeszcze gardzili...

Padł na polu bitwy mistrz wielki i marszałek, padł kwiat rycerstwa, zebranego z całego świata; padło ze strony Krzyżaków tylu ludzi, ilu dotąd jeszcze nie widziano razem na pobojowisku.

Nasi daleko jeszcze ścigali niedobitki wrogów. Zakon był złamany na zawsze, lub przynajmniej na bardzo długo. Widać

było po tej wielkiej bitwie, że nigdy już nie urosnie ten długo-wieczny wróg nasz do tej potęgi, jaką miał jeszcze rano w dzień bitwy pod Grunwaldem.

Odrawążowie walczyli cały czas dzielnie. — Jan zapalał się w bitwie, ciął na prawo i lewo, rąbiąc sobie drogę naprzód ścieląc dokoła trupy nieprzyjaciela. Kazimierz trzymał się blisko, wspierając brata.

Już pod koniec bitwy zapędził się Jan tak daleko pomiędzy Krzyżaków, iż wraz z kilkoma towarzyszami ujrzał się okolonym. Niemcy zrozpaczeni nacierali zapamiętale. Nie spostrzegł Jan, jak z boku olbrzymi Krzyżak zamachnął się na niego. Kazimierz widział to, lecz, zanim mógł nadbiec, już miecz krzyżacki byłby rozplatał brata, — gdy wtem jakiś zwinny rycerz cięcie odbił i Niemca trupem położył. Na niego więc zwałili się Niemcy i byłiby go rozsiekali, gdyby nie pomoc Odrawążów, którzy zasłonili towarzysza.

Boj trwał długo, cięcia sypały się jak grad. Gdy inni na odsiecz nadbiegli i Niemców do nogi wyrabali, spostrzegł Kazimierz, iż rycerz, który Jana ocalił, sam ciężko ranny stanął się z konia.

Bój już ustawał, mogli więc Odrawążowie dać pomoc zacnemu rycerzowi. Uwieźli go ku namiotom królewskim.

Zrobiono na prędce łożo, rozpięto zbroję, zdjęto szyszak.

— Zbyszek Rudawski! — zawołał Kazimierz.

Ranny oczy otworzył, lecz słowa przemówić nie mógł.

— Wiesz, Janku — rzekł Kazimierz — iż on ci dziś życie ocalił?

— Możeż to być? — zapytał zdziwiony Jan.

Kazimierz opowiedział, jak się to stało, czego Jan w zapale boju nawet nie spostrzegł.

— Nie opuszczę go, dopóki zupełnie zdrów nie będzie.

Pościg za nieprzyjacielem trwał długo, — aż cztery mile zapędzono się za umykającymi niedobitkami.

Następnie powrócono na pobojowisko. Zwłoki wielkiego mistrza odesłał król na wspaniale przybranym wozie do Malborka, innych Krzyżaków uczciwie pogrzebano, rannym, choć wrogom, dano pomoc lekarską.

Chcąc Bogu podziękować za świetne zwycięstwo, urządził król na pobojowisku uroczyste nabożeństwo. Po niem nastąpiła wspaniała uczta, do której zapasów i wina znalazło się aż do zbytku w obozie krzyżackim.

Wśród uczty wystąpił najstarszy z książąt mazowieckich, Janusz Czerski, którego przodek sprowadził był Krzyżaków do Polski, i, przyklękawszy przed królem, zawołał:

— Tobie, Panie Boże w niebiesiech, mścicielu krzywd,

i tobie, najjaśniejszy królu Polski Władysławie, bądź wieczna wdzięczność i cześć, żeście nas uwolnili od nieprzyjaciół krzyżackich, którzy z winy praszczura mojego tak długo ciężyli na nas, a teraz tak świetnie pogromieni zostali, za co ja i wszyscy potomkowie moi będziemy wiecznie błogosławić i służyć koronie twojej.

Po trzydniowym wypoczynku ruszono w dalszy pochód. Trwała wojna dalej, lecz bardzo słaba, bo Krzyżacy podawali bez oporu swoje zamki. Tylko Malborg oparł się obłączeniu.

Lecz jedna ta silna twierdza nie ocalała krzyżactwa: pobici na głowę, nigdy już nie mieli się dźwignąć.

Błogosławieństwo połączenia dwóch sąsiednich narodów teraz okazało się w całej pełni, gdy u ich stóp legł straszny wróg, którego rozdzielonemi siłami pokonać niepodobna było. Na długo buta krzyżacka doznała upokorzenia, na długo wróg ten przestał nam być groźnym.

*
* *

Wieść o zwycięstwie grunwaldzkim lotem błyskawicy rozszła się po kraju, aż w najodleglejsze jego zakątki.

W Grabowej sędziwi Odrawążowie oczekiwali powrotu synów z utęsknieniem. Już wiedzieli, że obaj dzielnie się odznaczyli i obaj wyszli z boju zdrowo.

Jakoż pewnego dnia przybyli, ale nie sami. Ciągnął z nimi wóz, pokryty budą z płótna, dziwnego kształtu, jakiego w tych stronach nie znano.

Zdziwili się rodzice, widząc ten zaprząg. Zę łzami radości powitali synów, uściskom końca nie było.

— Gościa wam przywozimy, przyjmijcie go serdecznie: jemu Jan winien życie — rzekł Kazimierz.

— Sam omal życiem nie przypłacił tego poświęcenia się za mnie.

— Będzie nam miły, jak rodzony syn — zawołał z rzewnością pan Wojsław. — Któż on taki?

— Zbyszek Rudawski, dawny nasz sąsiad.

Pan Wojsław poczerwieniał nieco.

— Urazę, którą do ojca jego miałem, zmył tą krwią, co ją przelał w obronie kraju. A że ocalił życie Jankowi, jak syna pielęgnować go będę.

Zbyszek rozmowy tej nie słyszał, leżąc na wozie nieco opodal. Rany jego już się pogoiły, lecz sił miał jeszcze mało, więc musiano mu pomóc.

Podtrzymywany przez młodych Odrowążów, szedł pod ich strzechę.

Pan Wojśław w głowę go ucałował i rzekł ze łzami:

— Niech ci Bóg nagrodzi, coś dla syna mego uczynił!

Pod troskliwą opieką Zbyszek prędko siły odzyskiwał.

W parę dni po przyjeździe Kazimierz wybrał się w podróż niedaleką, bo ledwo mil siedm, do starego Rudawskiego, by go zawiadomić o losie Zbyszka i w dom ojca zaprosić.

Gdy powrócił z Rudawskim, Zbyszek już mógł o własnych siłach wyjść na powitanie.

Pan Wojśław wyszedł przed próg swego domu i, wyciągając do Rudawskiego obie ręce, zawołał:

— Rzućmy dawne urazy i bądźmy sobie przyjaciółmi! Wejdźcie pod naszą strzechę jako brat nasz, a braterskie serca znajdziecie.

Rudawskiemu łzy z oczu się puściły.

— Jakżebym nie miał być przyjacielem waszym, gdy synowie wasi uratowali mego jedynego!

Dawni wrogowie poprzyjaźnili się rychło bardzo. Pan Wojśław ani myślał puszczać Rudawskich, choć Zbyszek czuł się już zupełnie silnym. Staremu też nie było pilno do pustego dworu.

— Daleko mi teraz do was będzie — rzekł raz Rudawski. — Zabrał mi król dla was Polanę, musiałem dalej osiąść, a teraz tak was pokochałem, iżbym rad często was widzieć.

— Znajdzie się kawał ziemi w pobliżu, a teraz, gdy Wólów już niema, będziemy żyli w zgodzie jako dobrzy sąsiedzi, nie wrogowie.

Rudawski zaczął naprawdę myśleć o sprzedaniu swej wsi, a kupieniu innej w pobliżu Grabowej i Polany.

Bardzo go do tego namawiał Zbyszek, który wyjazd od Odrowążów odwlekał i to nie bez powodu. Często naradzał się z Kazimierzem i Janem, aż wreszcie znaleźli piękny kawał ziemi, położonej niedaleko gniazda rodzinnego Odrowążów.

Rudawski miał trochę grosza, więc kupno rychło uskutecznił, a dawny majątek, w dobrej ziemi położony, zbył łatwo.

Odrowążowie i Rudawscy bardzo się cieszyli, iż zostali sąsiadami, — bardziej zaś jeszcze, gdy w pół roku po

powrocie synów do domu sprawili huczne wesele Oleńki ze Zbyszkiem...

Miłość i zgoda opromieniły sędziwe lata Odrowążów i Rudawskich; do śmierci byli przyjaciółmi i z dawnych wrogów stali się braćmi. A wszystko to, jak mawiali, zawdzięczali połączeniu się Jadwigi z Jagiełłą, których imiona z najwyższą czcią i miłością w ich domach wspomniano.

KONIEC.



93328